Nr. 39 (1187). Warszawa, dnia 13 (26) Września 1903 r. Rok XXIII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy" (wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.
Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Adres: Sadowa Nr. 14.

Redaktor przyjmuje interesantów we wtorki i czwartki od godz. 4 do 5 popołudniu.
Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu sześciu miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.
Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

Szan. Abonentom kwartalnym przypominamy nadchodzący termin przedpłaty.



SPRAWA WSCHODNIA.

Odwiedziny w Wiedniu wysuwają znowu w przedniej straży domniemań i dociekań publicystyki i dziennikarstwa pytanie: co też na odwiedzinach mówiono i co powiedziano? Czy będzie interwencya, czyja i jaka; czy tylko Rosyi i Austryi, czy też jednego tylko z tych mocarstw; czy ten, kto ją podejmie, sam lub w towarzystwie, uczyni to tylko dla przywrócenia porządku, który Turkom mimo okrucieństw idzie z oporem, czy też zechce wydzielić sferę wpływu i posiadania, choćby w tymczasowość tylko przystrojonego, najpierw sobie, a potem innym współdziałającym? Czy przy takiej interwencyi Porta będzie mogła rozsądnie uważać się za nietkniętą w swych prawach zwierzchniczych i terytoryalnych; czy też odrazu dostanie wyrok, pozbawiający ją jednych i drugich? Co się wreszcie stanie z Bulgaryą i jej apetytem; co z Serbią i jej podatnością na zabór z powodu położenia geograficznego; jaka rola przypadnie Czarnogórzu, jaka Grekom po nad morzem Egejskiem? Czego nakoniec spodziewać się mogą Albańczycy i mający dla nich rzetelną życzliwość zaborczą Włosi, i czego Epiroci, przeznaczeni przez samo pochodzenie, tradycye i sąsiedztwo dla królestwa greckiego?

Wszystkie te pytania tłoczą się przed umysł, rozważający prawdopodobieństwa i logiczne środki uspokojenia półwyspu Bałkańskiego, nie bagnetami i kulami nizamów i redyfów tureckich, ale mądrością dyplomacyi, której głównym żywiołem pozostanie zawsze wstrzemięźliwość wobec wojny i zachcianek wojennych. Do tych wszystkich sposobów ugaszenia pożaru bałkańskiego przybywa jeszcze jeden, któryby mógł wystąpić jako reakcya przeciwko okrucieństwom tureckim. Tu już nie to lub owo mocarstwo, ale Europa cała, znana przecież dobrze ze swego współczucia dla Armeńczyków, dla Bulgarów, dla dzieci chińskich, dla wszystkich cierpiących i katowanych powołaną byłaby do działania — dyplomatycznego na początek, orężnego na koniec. Czy i to przewidywanie przy panującym nastroju, przy usposobieniu takiem a nie innem dyplomacyi mrzonką tylko musiałoby pozostać, gdyby się nawet począć mogło z poważniejszego tworzywa? Okrucieństwa nie ulegają wątpliwości. Kłamie Bulgarya, jej rząd, gdy się współdziałania z powstańcami wypiera, ale mówi prawdę, gdy w dawniejszym memoryale wylicza miejscowości, ofiary i daty czasu; okazuje żakowską naiwność, gdy w memoryale nowym stawia Europie jakieś *ultimatum* 48-godzinne do interwencyi, ale, mówiąc głupstwo, jednocześnie sięga po poważne prawo dla braci swych i pobratymców w Macedonii. Sami Turcy już nie wypierają się rzezi i mordów. Sułtan dał za nie dymisyę 2 generałom i 3 pułkownikom, z sandżaku Kirkilisse. Odpowiedź turecka na kilka punktów memoryału sierpniowego, że wypadki wydarzyły się jeszcze w sierpniu, jest zakładaniem samemu sobie stryczka na szyję.

Czy wogóle będzie co z jakiejkolwiek, choćby tylko najskromniej pomyślanej, od politycznych apetytów jak najdalszej, interwencyi humanitarnej? P. Bülow po rokowaniach z p. Gołuchowskim zaręczył dziennikarzowi, że o interwencyi zgoła nikt nie myśli. Zaręczenia dawane dziennikarzom mają wartość słów pisanych na wodzie. Publiczność się niemi bawi, czyta, prenumeruje, a o prenumeratę tu głównie chodzi. Przypuszczając nawet największą prawdomówność, można uważać zwierzenie się kanclerskie tylko za przyobleczone w słowa wrażenie z rozmów wiedeńskich: p. Gołuchowski opierać się będzie do ostatka pokusie interwencyi, p. Bülow w to wierzy i wiarą tą dziennikarzy karmi. Otóż ten opór p. Gołuchowskiego wydaje się nam nieprawdopodobnym. Pokusa zaczęła już na niego działać i działa — i dla honoru swej dyplomacyi nie powinien się on tego wypierać. Nie robi przecież nic złego: przeciwnie, choćby tylko na jego pobudkę ocknąć się miała owa humanitarna Europa, będzie miał zasługę. Przytem sam on powiedzieć sobie musiał dawno to samo, co mówi mu już od czerwca opinia publiczna całej Europy: że dotychczasowa „akcya" dwu mocarstw jest zupełnie bezpłodną, przypomina raczej nakładanie hamulców na energię, niż wprawianie jej w ruch i wywieranie na punkta oświetlane przez własny, zdrowo pojęty interes.

A interes ten jest bardzo ważny. Austrya może wiele zarobić, może i wiele stracić na obecnej zawierusze wschodniej. Prawdopodobieństwo strat jest dla niej tem większe, im dłużej zawierucha trwać będzie. Układ z r. 1897 był od samego początku, z samego swego rodowodu, jest w swej istotnej treści układem pojednawczym: żadne mocarstwo nie zrobi nic bez drugiego. W takiej *camisole de force* może wytrzymać niemająca nadmiaru sił Au-

strya, ale nie wytrzyma długo strona druga, silniejsza. Układ zasadniczy, wraz z ugodą, która wydała z siebie owe żądania wspólne, w lutym r. b. przyjęte przez Turcyę — jest tylko buforem chroniącym pokój między obu mocarstwami od starcia i roztrzaskania. Z chwilą gdy jedna strona, ta mianowicie, która ma nadmiar siły militarnej, zechce pozbyć się drugiej, pozostanie Austryi tylko albo porwać za oręż, albo też ustąpić dobrowolnie z dyplomatycznej niwy bałkańskiej, aby następnie może i samą Bośnię i Hercogowinę utracić. Interwencya, któraby zawczasu wydzieliła każdemu z mocarstw sferę wpływów, czyli innemi słowy, poprowadziła dalej rozbiór Turcyi, rozpoczęty w latach 1877—8, zażegnałaby tę tragiczną dla Austryi konieczność wyboru między hańbą gałązki oliwnej a niebezpieczeństwem miecza dobytego z pochwy. Jeżeli zjazd w Wiedniu wydał jaki poważny owoc, to jest nim najprawdopodobniej zaręczenie ze strony Niemiec, że nie poprą Rosyi, że nawet pomocy swej Austro-Węgrom nie odmówią. Na początek będzie nią popieranie interwencyi — jedynego środka zapobiegającego starciom, zażegnywającego ją wspólnością zdobyczy, która jednemu ze współzawodników przynieść ma zaokrąglenie nad Dunajem i Adryatykiem, a drugiemu Konstantynopol, cieśniny i pomorze egejskie.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Cesarz austryacki podczas manewrów w galicyjskich Chłopach d. 16 b. m. wydał rozkaz do armii wspólnej, rozstrzygający sprawę odrębnej armii węgierskiej. Cesarz nigdy na odrębną komendę, a więc i na wyodrębnienie węgierskiej części armii wspólnej, nie pozwoli. Sprawił ten rozkaz w krainie Arpada wrażenie straszliwe. Zahuczały pioruny w prasie ultra-narodowej; artykułów jej nie odważyły się nawet przedrukowywać dzienniki galicyjskie. Spokojnym tylko był Franciszek Kossuth w *Egyetertesie*; ostatecznie ostrzegł przed zachciankami rewolucyjnemi. O powstaniu, o wojnie narodowej, z Niemcami i nie-Niemcami Przedlitawii, z dynastyą samą, nie wielu myślało na Węgrzech.

Khuen pojechał d. 21 b. m. dla podjęcia na nowo układów ze stronnictwem liberalnem, liczebnie przeważającem w sejmie. Zapowiedziano nawet już na ten tydzień postawienie nowego gabinetu. Znowu trzy nazwiska zamigotały przed oczyma: Andrassy, Apponyi, Wekerle.

D. 18 b. m. z rana cesarz niemiecki, na wyraźne życzenie cesarza austryackiego, odwiedził go w Wiedniu, w którym nie był już od lat pięciu. Toasty stwierdziły zażyłość. Trzykrotny pocałunek przy wyjeździe, uścisk po toaście ces. Wilhelma na akcie przyjaźni wycisnęły pieczęć. Na dzień przed monarchą zjechał do Wiednia jego kanclerz i zaraz naradzał się z p. Gołuchowskim. Chodzi o Turcyę i Bulgaryę, o cały półwysep. Ze zwierzenia się Bülowa *N. Tageblattowi* wiedeńskiemu można by mniemać, że postanowiono odeprzeć wszelką myśl interwencyi, utrzymać nietykalność Turcyi i tylko pogłębić środki przeprowadzenia reform zimowych. Węgrzy widzą już interwencyę niemiecką u siebie: Fritz Eitel rwie się do korony węgierskiej; Bülow i ces. Wilhelm myślą nawet o przekształceniu karty Europy; Austrya dostałaby zachodnią połowę półwyspu, wraz z Serbią, na własność, Rosya wzięłaby sobie wynagrodzenie, jakiegoby tylko zapragnęła, a Niemcy wprowadziłyby nareszcie w rzeczywistość swoją linię Knesebecka, zabrałyby lewy brzeg Wisły. Ale to wszystko tylko w bujnych imaginacyach węgierskich. Wizyta skończyła się d. 20 wieczorem odjazdem do Gdańska.

Sejm galicyjski zagajony d. 14 b. m., obradował tylko do 20-go. Odroczył się dla wyzwolenia posłów do Rady państwa, zwołanej w sprawie rekrutów na 23 b. m. Na ten sam dzień Węgrzy zamierzali zwołać swój sejm dla rozpalenia nowego pożaru o ów rozkaz cesarski.

Od d. 8—19 września sąd w Bytomiu przepędzał przez rózgi swej sprawiedliwości sześćdziesięciu sześciu oskarżonych o rozruchy w Hucie Laury w lipcu r. b. Wyrok jest prawdziwie zbójecki: 3 lata więzienia jeden skazany, 2—2 i pół l. w. — 9, 1—1 i pół roku—10, od 2 tygodni do 9 miesięcy — 26; szesnastu skazano na grzywny, pięciu tylko uwolniono. Sąd okazał się sroższym od prokuratora.

Turcy wciąż dopuszczają się okrucieństw.

W Anglii Chamberlain, Hamilton i Ritchie wyszli z gabinetu; na ich miejsca weszli: Selborne, Brodrick i syn Chamberlaina—Austen. Forster zastąpił Brodricka w wydziale wojny.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Z nad Warty i Odry.

Partykularyzm prowincyonalny. — Centralny komitet wyborczy. — Przed wyborami do sejmu. — Brak kandydatów. — Tajne biuro hakatystyczne. — Proces o rozruchy w Hucie Laury.

Jedną z najbardziej charakterystycznych cech społeczeństwa polskiego w Prusach jest wybitny partykularyzm prowincyonalny. Każda z poszczególnych prowincyj polskich żyje własnem, odrębnem życiem, mało wiedząc i chcąc wiedzieć o życiu innych. I dziś jeszcze sprawy Prus Zachodnich niewiele obchodzą Poznańczyków, Górnoślązacy nie wiedzą, co się dzieje w Poznańskiem i Prusach Zachodnich, a życie Mazowsza wschodnio-pruskiego lub Warmii jest całkiem obce i niemal obojętne dla mieszkańców reszty prowincyj polskich. Dawniej ten partykularyzm był jeszcze bardziej rozwinięty, dziś jednak pomału, ale stale zanika, choć do ostatecznego zespolenia wszystkich prowincyj polskich w jedną całość pod względem politycznym bardzo jeszcze daleko. Nawet wśród młodzieży z prowincyj polskich, kształcącej się w wyższych zakładach naukowych Niemiec, nietylko młodzież górnośląska, ale nawet zachodnio-pruska organizuje się w stowarzyszenia, odrębnie od poznańskiej. A przecież u młodzieży partykularyzm, tłomaczący się przyczynami historycznemi, jest jeszcze najsłabiej rozwinięty.

Niepodobna jednak nie przyznać, że jest to już objaw zanikający, nadzwyczaj powoli, stopniowo, ale zanikający. Jeszcze przed kilku laty sprawy Górnego Śląska były dla Poznańczyków zupełnie obojętne, a separatyzm Górnego Śląska niejako dogmatem politycznym. Stojąc przy zapomnianych przez wszystkich traktataah wiedeńskich, reprezentacya szlachty poznańskiej odrzucała wszelką myśl o jakiejkolwiek wspólności z Górnym Śląskiem, jako z krajem „historycznie“ niepolskim. Różni Jażdżewscy i tym podobni politycy uroczyście wypierali się wszelkiej wspólności z Górnym Śląskiem i jego sprawami.

Knut Hamsun.

ZAGADKA.

(Dokończenie).

Rozsiadłem się wygodnie, nogi oparłem o przeciwległe siedzenie. Tak upłynął kwadrans. Udawałem, że nie widzę mego towarzysza podróży. On zdawał się pogrążony w myślach.

Wtem sięgnął do kieszeni surduta i wydobył torebkę ceratową, rodzaj futerału, jak gdyby z przyborami opatrunkowymi; otworzył torebkę i począł oglądać zardzewiałe instrumenty, wyciągając jeden po drugim. Były to dziwne, zakrzywione przyrządy, niektóre płaskie, inne okrągłe, cienkie i grube. Widziałem dobrze, to był zbiór wytrychów. On sam bynajmniej się z tem nie taił, przeciwnie obracał je wciąż w ręku, jak gdyby wpychał w zamek, próbował nawet otworzyć swój kufer. Widocznie umyślnie chciał mi pokazać, do czego się używa tych instrumentów. Ja siedziałem spokojnie i przypatrywałem się.

— Miej się na baczności — pomyślałem — on drwi z ciebie najwidoczniej — coś w tem jest, chce cię do czegoś wciągnąć.

Upłynęło kilka minut. I znowu z tej samej kieszeni wyciągnął pilnik, mały, metalowy pilniczek, którym począł czyścić wytrychy. Skończywszy piłowanie, kładł każdy kawałek na siedzeniu obok mnie. Proszę uzmysłowić sobie, jak to było: siedziałem z nogami wyciągniętemi na jego siedzeniu, moje trzewiki dotykały jego surduta. A on siedział ciągle i piłował.

Naraz spokojnie i jakby w zamyśleniu jeden z wytrychów, który właśnie skończył czyścić, położył mi na nodze i zabrał się do drugiego. — Kładzie mi swoje wytrychy na nogach a ja nic! — siedzę i patrzę. — Nie poruszyłem się nawet, lecz czekałem spokojnie, aby to samo powtórzył. I rzeczywiście złożył jeszcze jeden i znowu jeden, co który skończył czyścić, kładł na moich nogach, jak na poduszce, jak na siedzeniu. W ten sposób cztery czy sześć, ułożonych rzędem, znalazło się na moich nogach.

Wtedy podniosłem się, nie nagle, lecz tak szybko, aby to wszystko strącić na ziemię, zanim będzie mógł temu przeszkodzić. Opanowała mnie jedna myśl, odwzajemnić mu jego głębokie lekceważenie.

On i teraz nic się nie odezwał, kiedy wytrychy spadły, tylko w milczeniu pozbierał je z ziemi.

W tejże chwili wszedł konduktor. Ze zdziwieniem spostrzegłem, że i obecnie mój towarzysz nie usiłował bynajmniej ukrywać swoich instrumentów, zostawił je na wierzchu przez cały czas bytności konduktora, dopiero po jego odejściu włożył torebkę z jej zawartością do kieszeni. Widocznie czekał na tę sposobność, aby pokazać swoje niebezpieczne przyrządy.

Jechaliśmy może pół godziny, mijaliśmy stacye, przystawaliśmy, znowu dalej ruszali, a mój towarzysz wciąż milczał. Zachowywałem się umyślnie, jak gdybym był sam w wagonie, znowu wyciągnąłem nogi na przeciwne siedzenie, ziewałem w głos, śpiewałem, aby mu tylko okazać pogardę, ale wszystko to nie zdawało się go dotykać. Zapaliłem sobie cygaro i niezgaszoną zapałkę cisnąłem na jego rękę; rzuciłem ją w tym kierunku, jak gdyby ten kąt był próżny i widziałem, że padła mu na rękę, ale poruszył tylko ustami, ściągnął wargi, jak gdyby do uśmiechu i dalej siedział spokojnie.

Z czasem jednakże w miarę tego, jak lud zaczyna odgrywać rolę w polityce na całym obszarze polskim Prus, a szlachta bankrutuje ekonomicznie i politycznie, żywioły ludowe Poznańskiego i Górnego Śląska zbliżają się. Przyczynia się do tego i dość liczna imigracya na Górny Śląsk inteligencyi (dziennikarzy, adwokatów, lekarzy) z Poznańskiego. Pomału dla bardziej demokratycznych żywiołów Poznańskiego sprawy Górnego Śląska poczynają być bardzo blizkiemi, pomimo że na tym Górnym Śląsku niema ani szlachty polskiej, ani polskich fabrykantów. Już w r. 1895 *Przegląd Poznański* podnosi projekt zespolenia Górnego Śląska z Poznańskiem we wspólnej pracy politycznej. Ale ta myśl, zrodzona w szczupłem kółku ówczesnych postępowców poznańskich, przebrzmiała bez echa, bo opinia szerszych kół politycznych nie dojrzała była jeszcze do przyswojenia sobie takich poglądów.

Tymczasem życie wyłamywało się z narzuconych mu szablonów „historycznych.“ Na Górnym Śląsku w ludzie budziło się poczucie narodowe i zaczynało kiełkować zrozumienie konieczności jakiegoś współdziałania różnych prowincyj. Jednocześnie na dalekim zachodzie—w Westfalii i Nadrenii — skupił się 200-tysięczny zastęp polskiej masy robotniczej ze wszystkich prowincyj Prus polskich. I tu i tam z czasem musiała się spotęgować niechęć przeciwko centrum niemieckiemu, wyrażająca dążność do prowadzenia polityki polskiej, polsko-demokratycznej, a więc kojarzącej się z ruchem ludowym całego obozu polskiego.

Ta dążność, podkopująca ustalone pojęcia partykularystyczne, doprowadziła przy ostatnich wyborach do otwartego rokoszu Górnego Śląska i emigracyi przeciwko centrum. Anticentrowe kandydatury na Górnym Śląsku, w Westfalii i w Berlinie w dalszej konsekwencyi musiały zrodzić myśl o centralnej organizacyi wyborczej dla wszystkich Polaków — tak w kraju, jak i na emigracyi. Jednolitość walki wyborczej, jednolitość w zawieraniu kompromisów przy wyborach ściślejszych— wszystko to stało się obecnie, pomimo opozycyi staro-szlacheckiej i ultra-klerykalnej potrzebą jasną i zrozumiałą dla szerokich kół polityków. To też zawiązanie centralnego polskiego komitetu wyborczego na całe Niemcy wysunęło się na plan pierwszy, jako zadanie niecierpiące zwłoki.

Dnia 10 września odbyło się walne zebranie delegatów Poznańskiego, mające właśnie uczynić pierwszy krok w kierunku wytworzenia takiego komitetu. Przedstawiciel dawnej ultra-szlacheckiej polityki, ks. Wawrzyniak, usiłował usunąć z porządku dziennego zebrania sprawę komitetu centralnego, ale to mu się nie udało. Większość oparła się temu.

Dr. Krysiewicz przedstawił opracowany już projekt statutu centralnego komitetu wyborczego i wyjaśnił cel jego i zasady. Na projekt założenia „Polskiego Komitetu wyborczego na Rzeszę niemiecką“ zgodziły się wszystkie komitety prowincyonalne. Nowa najwyższa władza wyborcza, jako zespolenie polskich organizacyj wyborczych musi przyjąć na siebie pewną część praw i obowiązków, przysługujących dotychczas komitetom prowincyonalnym. Ostatnie wybory nietylko nasunęły myśl utworzenia takiej ogólnej organizacyi, lecz wykazały, że liczba posłów polskich mogłaby była być większą, gdyby organizacya taka już istniała. Nowy komitet ma wyznaczać okręgi, w których posłowie polscy mają być stawiani, lecz nie będzie się zajmował osobami posłów. Liczbę członków nowego komitetu unormowano według ilości głosów polskich, oddanych przy ostatnich wyborach, licząc po 50,000 głosów na jednego członka. Wypadło więc na Poznańskie 4, na Prusy Zachodnie i Warmię 3, na Śląsk 2, licząc na to, że tam ilość głosów polskich niebawem powiększy się znacznie, a dla Berlina i obczyzny po 1.

W dyskusyi zaznaczyły się dwie różnice opinij delegatów. Pominąwszy już głosy, zasadniczo przeciwne utworzeniu komitetu, dawały się słyszeć zdania, że emigracya mogłaby przez zyskiwanie głosów w komitecie ogólnym zdobyć ogromną przewagę nad władzami wyborczemi w dzielnicach czysto polskich. Nie ulega wątpliwości, że pod względem społecznym, a nawet i politycznym, emigracya westfalsko-nadreńska oraz berlińska będzie stanowiła zawsze lewe, skrajne skrzydło obozu polskiego. To też zrozumiałym jest strach żywiołów konserwatywnych wobec wpływu radykałów z emigracyi.

Ostatecznie po bardzo wyczerpującej dyskusyi projekt statutu dla „Centralnego polskiego Komitetu wyborczego“ został uchwalony. Pójdzie on obecnie pod obrady zjazdu delegatów innych prowincyj i emigracyj.

Oto główne zasady nowej instytucyi: Centralny, Polski Komitet Wyborczy na Rzeszę niemiecką jest najwyższą władzą wyborczą dla wszystkich Polaków, uznających poszczególne, polskie władze wyborcze, istniejące w obrębie Rzeszy niemieckiej. Siedzibą Komitetu jest Poznań. Członków Komitetu wybierają z pośród siebie naczelne władze polskich organizacyj wyborczych, a zatem 1) w W. Ks. Poznańskiem, 2) w Prusach Zachodnich, Warmii i Mazurach, 3) na Śląsku i 4) na emigracyi. Komitet składa się z 11 członków i tyluż zastępców, z których 4 wybiera W. Ks. Poznańskie, 3 Prusy Zachodnie i Warmia, 2 Śląsk i 2 emigracya. Do czynności Komitetu należy: 1) oznaczenie przed każdemi wyborami do parlamentu niemieckiego i sejmu pruskiego okręgów wyborczych, w których Polacy mają być postawieni jako kandydaci na posłów; 2) zawieranie kompromisów z innemi stronnictwami; 3) załatwianie w ostatniej instancyi sporów, zachodzących pomiędzy władzami wyborczemi; 4) ustanowienie biura informacyjnego, mającego trudnić się tworzeniem potrzebnych, polskich organizacyj wyborczych, gdzie ich niema, oraz działaniem przez pisma ulotne i prasę na opinię publiczną, mianowicie niemiecką.

Jeżeli komitet zostanie zorganizowany w ciągu najbliższych kilku tygodni, to będzie mógł rozwinąć swą działalność już przy nadchodzących wyborach do sejmu.

Wybory te mniej zaprzątają opinię publiczną, niż czerwcowe do parlamentu. Nic w tem dziwnego. Te ostatnie, przeprowadzane na zasadzie powszechnego, tajnego prawa wyborczego, obchodziły najszersze masy ludowe, dawały wyraz opinii tych mas, gdy trójklasowy system jawnych wyborów do sejmu wydaje masy ludowe na pastwę nadużyć i nacisku. W akcyi przedwyborczej, rozwiniętej przez sfery, blizkie *Orędownikowi*, głośno brzmi żądanie usunięcia z pomiędzy kandydatów osobistości, tak skompromitowanych polityką serwilizmu, jak ks. Jażdżewski i jemu podobni. Niechęć do tych niedobitków polityki dworskiej, tak głośno wybuchająca przed wyborami do parlamentu, doprowadzi zapewne w niedalekiej już przyszłości do zatargów na wiecach publicznych. *Dziennik Poznański* obawia się tego i wysuwa projekt, któryby z jednej strony zaszachował orędownikowych ludowców, a z drugiej uratował stanowisko szlachty-agraryuszów.

Mianowicie *Dzien. Pozn.* zaleca *kandydatury włościańskie*. Jest to pomysł dość sprytny. Tam, gdzie zdeklarowany zwolennik polityki serwilizmu nie ma wido-

---

Jechaliśmy w ten sposób czas jakiś, gdy nagle wyjrzał przez okno wagonu, jak gdyby obeznany był z drogą, podniósł się szybko, ujął kuferek za jedno ucho; stał tak kilka minut, dopóki pociąg nie zatrzymał się na jakiejś małej stacyi. Pochylił się z głęboką ironią przede mną bardzo nizko, tyłem zrobił parę kroków, znów się skłonił z szerokim uśmiechem, odwrócił i wysiadł. Nawinął się zaraz posługacz, któremu oddał pakunki i znikł mi z oczu.

Przez całą drogę nie przemówił do mnie i nie spojrzał mi w twarz ani razu.

* * *

I znowu minęło lat kilka, może trzy, gdy spotkałem go w odległym zakątku Nowego Yorku, w zaułku, w jaskini gry.

Byłem tu przed nim i siedziałem już przy rulecie, gdy naszedł. Służącemu, który nadbiegł, aby odebrać od niego kapelusz i zarzutkę, dał znak głową i nie rozebrał się; po chwili jednak zdjął kapelusz i trzymał go w ręce. Podszedł prosto do stołu z ruletą.

Zrobiono mu miejsce i zaczął grać natychmiast, ale zdawało się, że z większą uwagą śledzi moje stawki, niż swoje. Przegrywałem cały czas, stawiałem na czarne i podwójny numer, ciągle na czarne i podwójny numer, bez najmniejszej zmiany i ciągle przegrywałem. Może to go tak bardzo interesowało.

Nagle poprzez stół rzucił mi po norwesku:

— Czyż pan nie widzi, że pana oszukują?

Narażał się na to, że słowa jego mogą zrozumieć inni, prócz mnie, a w takim razie z pewnością nie wyszedłby stąd cało, a przecież powiedział je głośno, patrząc na mnie bystro.

Udałem, żem go nie słyszał wcale, grałem dalej, stawiając na ten sam numer i kolor. Znowu przegrywałem. Upór rozpalał mnie; — jeżeli ten człowiek jeszcze raz odezwie się do mnie i będzie się wtrącał w moje sprawy, wezwę krupiera—pomyślałem. Byłem zły i podrażniony; nie było wątpliwości, oszukiwano mnie; widziałem to sam: krupier trzymał w ręku klucz, którym nieznacznie wodził za kulką, ilekroć miała się zatrzymać i mnie już przed kilkunastu minutami przyszło na myśl, że w kluczu tkwił magnes, lecz nie zważałem na to, stawiałem i przegrywałem.

Wtedy mój nieznajomy zwraca się do krupiera, mówiąc:

— Czy pan wreszcie schowa ten klucz do kieszeni?

Powiedział to zimnym, stanowczym głosem, a krupier natychmiast usłuchał; usprawiedliwił się tylko: — to jest klucz od banku, trzymam go, bo mi z nim wygodnie — mimo to schował go. Rozgniewałem się, zły byłem, że go usłuchał; rzuciłem resztę pieniędzy na czarne i podrażniony wstałem. Wyszedłem, nie czekając.

* *

Spotkałem mego znajomego dopiero przeszłego roku w Chrystyanii. Mieszkałem wtedy na St. Hanshaugen na czwartem piętrze. Gdy pewnego razu po obiedzie wróciłem do domu, zastałem tajemniczego pana na środku pokoju: klucz zostawiłem we drzwiach, więc sobie wszedł poprostu. Bez żadnych wstępów, wyciągnął do mnie rękę, prosząc o 16 koron — szesnaście koron. Dziękuje, raz jeszcze dziękuje i zbliża się ku drzwiom. Tu staje i powiada:

— Boże drogi, jakiż pan jest głupi!

— Powiedział to, zwrócony ku drzwiom, głosem pełnym pogardy.

Odezwała się we mnie dawna złość, postąpiłem kilka kroków ku niemu. Zobaczywszy, że już ma drzwi otworzyć i wyjść, nie mogłem się powstrzymać od powiedzenia:

— Stój! Chyba nie ukradłeś nic?

ków, należy postawić kandydaturę włościanina. Ten „włościanin“ — to naturalnie nie żaden parumorgowy proletaryusz wiejski, ale zamożny chłop-właściciel średniej posiadłości ziemskiej, takiż sam agraryusz, jak i jego sąsiad-szlachcic z dziada pradziada. Obóz agraryuszowsko-szlachecki nic nie straci, jeśli w sejmowem Kole zasiądzie kilku takich włościan, a *Orędownik* i jego zwolennicy znajdą się w dość niemiłej sytuacyi, gdyż zarzucanoby im, że zwalczają kandydatury „ludowe.“ Przy małej świadomości społecznej zwolenników *Orędownika*, u których najbardziej popłacają krzykliwe frazesy redaktora tego ostatniego, demagogiczny pomysł *Dziennika Pozn.* może mieć skutek pożądany dla jego twórców.

Kandydatury włościańskie mają tem więcej widoków powodzenia, że faktycznie obóz *Orędownika* nie obfituje w ludzi, odpowiednich na stanowisku posłów sejmowych. Uznają to i pisma, blizko *Orędownika* stojące i przeciwne polityce agraryuszowsko-reakcyjnej. Tak np. *Praca* zaznacza, że każdy, kto widzi konieczność wykluczenia z grona poselskiego „polityków wczorajszej doby,“ nie może znaleźć na widowni politycznej ani jednego męża, któryby wyrastał po nad głowę rzeszy, a zarazem posiadał nieskazitelny charakter i nieodzowne kwalifikacye. „Narzuca się konieczność wyparcia z grona posłów ludzi wstecznych, a niema prawie zastępców, chociaż tak niewiele wymaga się u nas od kandydata polskiego“ — mówi *Praca* i w ten sposób tłomaczy ten fakt znamienny: „Wina za ten opłakany stan rzeczy, za ten brak ludzi, objawiający się prawie na każdem polu, spada na całe społeczeństwo, które, można powiedzieć, pracowało nad stłumieniem każdej śmielszej myśli, nie dopuszczało do udziału w sprawach publicznych sił młodych, obdarzonych pewną indywidualnością, lecz wytworzywszy atmosferę duszną, hodowało w niej bezbarwnych karyerowiczów, manekinów i popolitych zjadaczów chleba. Ale ciężka wina spoczywa także na tym organie poznańskim młodej generacyi demokratów i postępowców, który był z natury rzeczy powołany do wychowania młodej generacyi demokratów i postępowców i od lat z górą trzydziestu opozycyjne zajmował stanowisko wobec *Dziennika* i jego satelitów.“

Praca ma tu na myśli *Orędownika*, czyli raczej dr. Szymańskiego, redaktora tego pisma. Istotnie, *Orędownik* sam zdaje się rozumieć, że z jego obozu nie wyjdzie nikt, ktoby objął spadek po bankrutującej szlachcie reakcyjnej. Wobec tego, jakby na ironię, poleca osoby z kół t. zw. szlachty postępowej. Zaznaczając ten fakt, jako dziwną anomalię, *Praca* podnosi myśl zwołania zjazdu wszystkich posłów i polityków o barwach ludowych, którzyby wydali opinię o projektowanych nowych kandydaturach poselskich. Nie wiadowo, czy *Orędownik* będzie się chciał zgodzić na takie wyjście.

Wielką sensacyę wywołały artykuły *Posener Ztng*, która wykryła i podała do publicznej wiadomości fakt, że w Poznaniu istnieje specyalne biuro, mające na celu systematyczne niepokojenie opinii niemieckiej „niebezpieczeństwem polskiem.“ Biuro to dostarcza sensacyjnych korespondencyj z różnych wrzekomo miejscowości takim gazetom polakożerczym; jak *Berliner Neueste Nachrichten*, *Kölnische Ztng*, *National Ztng*, *Geselliger*, *Schlesische Ztng* itd. W szeregu artykułów *Posener Ztng* scharakteryzowała z oburzeniem system tego biura, polegający na tem, że uwaga filistra niemieckiego utrzymywana jest w ustawicznem naprężeniu. Przedewszystkiem biuro rozgłasza pierwszą lepszą, absolutnie zmyśloną, straszliwą historyę o nowem niebezpieczeństwie, grożącem ze strony Polaków; następnie wszelką błahą sprawę przedstawia, jako rzecz pierwszorzędnej wagi; dalej opowiada o wielkiej potędze polskości wobec „uciśnionej“ niemczyzny; w końcu woła o natychmiastową pomoc, gdyż inaczej niemieckości grozi stanowczo zagłada. Zdaniem *Posener Ztng*, rząd czerpie swoje wiadomości o sprawach polskich głównie z tego biura. *Posener Ztng* bardzo ostro występuje przeciwko temu biuru, nazywając jego kierownika „politischer Brunnenvergifter“ (zatruwającym studnie), a współpracowników „ciemnemi egzystencyami“ i nawołuje wszystkich uczciwych ludzi do wystąpienia przeciwko systematycznemu okłamywaniu opinii publicznej, na czem tracą głównie sami Niemcy.

Sensacyę wywołały rewelacye *Posener Ztng* głównie dlatego, że ten organ znajduje się na usługach polityki polakożerczej i zionie nienawiścią do Polaków. Wobec tego ludzie zachodzą w głowę, aby zrozumieć pobudki, które skłoniły redakcyę do wystąpienia przeciw biuru hakatystycznemu. Zdaje się, że pobudek szukać należy w zawiści konkurencyjnej jednej kliki germanizatorskiej wobec innej.

Proces o rozruchy w Hucie Laury przykuwa ku sobie powszechną uwagę. Zajmiemy się nim, kiedy się skończy, na razie należy tylko podnieść niesłychaną stronność, z jaką działa prokuratorya i fenomenalną wprost kruchość wszelkich oskarżeń. Poprostu aresztowano ludzi na chybił trafił, bez żadnych powodów, byle tylko wywołać proces, któryby steroryzował ludność polską.

Pośrednik.

Odsłonięcie pomnika Renana.

Myśl wzniesienia pomnika Renanowi w rodzinnem jego mieście Tréguier, w Bretanii, powziął w roku zeszłym Armand Dayot założyciel i wiceprezes postępowego stowarzyszenia Bretończyków „Les Bleus de Bretagne“. Do komitetu weszli: Zola, Anatol France, Loti, Jaurés, Séailles, Mirbeau, J. Claretie, Rostand, Maeterlinck, Sully Prudhomme, bracia Margueritte, Buisson, Millerand, Haret itd., a na wykonanie pomnika wybrano zaszczytnie znanego, młodego rzeźbiarza J. Boucher'a. Skoro tylko wieść o tym zamiarze przedostała się do Tréguier, oburzenie miejscowego duchowieństwa i arystokracyi okolicznej objawiło się w szeroko prowadzonej agitacyi celem niedopuszczenia tej „zniewagi“, a biskup groził zniesieniem odpustu i procesyi św. Iwona. Agitacya przybrała większe rozmiary w ostatnim tygodniu, poprzedzającym uroczystość odsłonięcia pomnika. Proboszcz katedralny zapowiadał, że każe bić w dzwony od świtu do zmierzchu, co najzupełniej zagłuszy mowy, admirał de Cuverville miał wespół z ludem urządzić na stopniach krużganku katedry manifestacyjną pokutę dla przebłagania Boga, a przeróżne odezwy i afisze, protestujące przeciw wzniesieniu pomnika i spotwarzające Renana, rozpowszechniano w dziesiątkach tysięcy egzemplarzy.

Można się było istotnie spodziewać, że ten tłum ciemny, karmiony przesądami i alkoholem, da się poprowadzić duchowieństwu w imię miłości Boga, ojczyzny i rodziny, sponiewieranych niby przez Renana, a to tembardziej że na dziesięć dni przedtem mała nadmorska osada Camaret-sur-mer była widownią scen, wywołanych przez fanatyzm religijny. W tej miejscowości przebywał znakomity mistrz słowa, poeta Laurent Tailhade, którego artykuł

Powiedziałem to umyślnie, aby go dotknąć, wcale nie przypuszczałem, aby mi coś mógł wziąć, chciałem go tylko upokorzyć.

Ale słowa moje nie zabolały go bynajmniej, nie rozgniewał się, widocznie nie dotknąłem go, odwrócił się tylko i rzekł zdziwiony:

— Ukradłem?

Nieproszony siadł na krześle, rozpiął surdut i z kieszeni jego wyjął najpierw jakieś papiery, wśród których zauważyłem rozkład jazdy, potem czerwony pugilares, wypchany banknotami, ale to porządnie wypchany, było tego kilkaset koron zapewne, i pokazując mi go, rzekł z uśmiechem:

— Cóżbym ja panu mógł ukraść?

Znowu mnie upokorzył. Ten człowiek zawsze mnie pokonywał, zawstydzał na każdym kroku. Gdy wstał i odchodził, nie otworzyłem ust, aby go zatrzymać. Pozwoliłem mu odejść. Dopiero gdym posłyszał jego kroki na dole, przyszło mi na myśl, że powinienem coś zrobić: otworzyłem gwałtownie drzwi i znowu je zatrzasnąłem, aż się rozległo po całym domu. To było wszystko, na co się zdobyłem.

Moje szesnaście koron zostawił naturalnie, jako prosty dowód lekceważenia. Znalazłem je na krześle, na którem siedział. Oburzony i upokorzony zostawiłem je tak dni kilka, w nadziei, że może powróci i przekona się, jako ich nie schowałem.

Później dowiedziałem się, że był także u moich gospodarzy i zachowywał się dziwacznie. Mój gospodarz, który był komisarzem policyi, odebrał wrażenie, że to człowiek chory na umyśle. Między innemi ten natrętny nieznajomy chciał koniecznie nabyć u nich starożytny, holenderski, mosiężny dzbanuszek do kawy, który stał na blasze. Nie chciał słyszeć o odmowie.

* * *

Oto są luźne epizody mojego spotkania się z tym szczególnym człowiekiem. W końcu doszedłem do tego, że myślę o nim bez gniewu, zaciekawił mnie, oczekuję nowego z nim spotkania. A przytem pewne światło padło na jego sprawę, zdaje mi się, że poczynam rozumieć jego istotę duchową i niejasne zachowanie się. Mianowicie, przed kilku miesiącami spotkałem trzydziestoletnią kobietę, która opowiadała o sobie to, co naprowadziło mnie na drogę zrozumienia tamtego. Popełniła ona przestępstwo, które byłoby ją zawiodło do więzienia o chlebie i wodzie na kilkanaście dni, to przestępstwo odebrało jej wprost zmysły. Nie z powodu wyrzutów sumienia, nie ze skruchy za popełnioną winę, lecz z niewytłomaczonej chęci zostania uwięzioną, jakiś czas umyślnie wystawiała się na podejrzenia, co do swego czynu, ale bezskutecznie. Szczęście, które stale ją ochraniało, uczyniło ją nieostrożną, nawet zuchwałą. Znudziło ją, że jej nigdy nie ujęto, chociaż nasuwała się sama, używała sposobów rozmaitych, aby się wydała jej tajemnica, umyślnie się narażała, chcąc wzbudzić w ludziach podejrzenie. Wszystko naprożno, nikomu nie przyszło na myśl ją zaskarżyć.

Bliższe szczegóły jej opowiadania przywiodły mi na myśl mego tajemniczego człowieka z czarnemi oczyma. Bezwątpienia on za każdym razem miał nadzieję, że swojem zachowaniem się skłoni mnie do doniesienia policyi. I nie udało mu się.

Niezwykła to osobistość o niepowszedniej, dziwnie ukształtowanej duszy. Człowiek w psychicznej męce, może bolejący nad tem, że tajemnica, która mogłaby go zgubić, nigdy niestety się nie wyda.

Przekł. *J. Klemensiewiczowej.*

w dzienniku *Action*, smagający klerykalizm i ciemnotę Bretończyków, przedrukowany został w *Dépêche de Brest* i rozpowszechniony w Camaret celem podburzenia ludności miejscowej przeciw wolnomyślnemu pisarzowi. I rzeczywiście cel został osiągnięty. W dniu 30 sierpnia przed domem Tailhade'a zebrał się tłum złożony z 2000 osób, licząc w tem kobiety i dzieci; krzyczano „à mort Tailhade“, „à l'eau“, świstano i rzucano kamieniami, tak że słynny pisarz musiał pod silną eskortę policyi i wojska szukać schronienia w innej miejscowości Morgat, ale i tam dotarli agitatorzy, zniewalając go do wyjazdu.

W Tréguier jednak siła liczebna była po stronie tych, którzy pragnęli uczcić pamięć Renana, to też cała kampania klerykałów wydała bardzo mały rezultat, nawet zaopatrzenie „wiernych“ w świstawki nie sprowadziło pożądanych skutków. Z pomiędzy dzienników paryskich *Le Gaulois*, *La Gazette de France*, *La Libre parole* i inne tejże barwy starały się wykazać cytatami, że Renan nie był bynajmniej demokratą w rodzaju Combes'a, że nie był nawet republikaninem, bo chciał najwyższą władzę złożyć w ręce wielkiego uczonego i że w ogóle wyznawał przekonania wsteczne, których one bronią. Z pomiędzy organów wychodzących w Bretanii wytrwale podburzały *Indépendance bretonne* i *Ouest Eclair*, ten ostatni zaszczycony był nawet współpracownictwem Brunetière'a, którego „Listy o Renanie“ stanowić miały broń najsilniejszą.

Za przepowiednię niepowodzenia mogli jednak uważać klerykali szczelne zapełnienie sali szkolnej w Tréguier w dniu 7 września, kiedy zebrało się przeszło tysiąc osób dla usłyszenia odczytu deputowanego belgijskiego Vanderwelde, darząc go częstymi oklaskami i oznakami uznania.

Ustawianiu pomnika nie towarzyszyły żadne manifestacye przeciwników. Artysta przedstawił Renana już w wieku podeszłym, siedzącego na ławce kamiennej, jak to zwykł był czynić, gdy odwiedzał swe rodzinne miejsce, tak rzewnie odmalowane w jego „Souvenirs d'enfance et de jeunesse“. Prawą rękę oparł na książce, którą zamknął i nad którą zdaje się dumać, w lewej trzyma kij, który mu służył w wędrówce po ukochanym kraju; za nim stoi Minerwa z gałązką wawrzynu, jako symbol wiedzy, rozumu. Na cokole wyryte zdania, wyjęte z pism Renana:

„Tylko nauka i cnota stwarzają wielkie dzieła“.

„Wiara, którą się miało, nie powinna być nigdy łańcuchem“.

„Człowiek czyni pięknem to, co ukochał, świętem — to, w co uwierzył“.

Odsłonięcie pomnika wyznaczono na dzień 13 września; w wilię dnia tego odbył się poranek wokalno-dramatyczny, na który złożyły się występy artystów Opery paryskiej i Komedyi francuskiej oraz odczyt prof. Sorbony Le Dantec'a, który dał charakterystykę dzieł Renana. Nazajutrz, wobec ogromnego napływu osób miała miejsce uroczysta inauguracya. Na wstępie panna Moreno, artystka komedyi francuskiej, odczytała słynną „Modlitwę na Akropolu“ Renana, poczem kolejno zabierali głos deputowany Guieysse w imieniu stowarzyszenia „Les Bleus de Bretagne“, minister oświaty Chaumié, słynny chemik i przyjaciel z lat młodocianych Renana, Berthelot, niezrównany myśliciel i poeta Anatol France, wreszcie w imieniu rodziny Psichari. Przemówienie France'a, uważane powszechnie za arcydzieło zarówno pod względem formy jak treści, przerwane zostało świstem pobożnych, wychodzących w owej chwili z kościoła i wynikłem stąd zamieszaniem, które łatwo mogło się przeistoczyć w zażartą bójkę.

Obecność jednak znacznej ilości policyi i wojska ochłodziła zapał wojowniczy i tylko jedna dama, hrabina de Kerpoison, dostała się chwilowo do aresztu za użycie świstawki i chęć użycia rewolweru. Proboszcz nie mógł doprowadzić do skutku swego zamiaru dzwonienia przez dzień cały, gdyż wzbroniła mu tego władza, musiał się więc zadowolić zwołaniem wszystkich swych wiernych owieczek do kościoła na modlitwy pokutne. Tegoż wieczora na bankiecie, w którym uczestniczyło przeszło 2,000 osób, minister Combes wygłosił długą mowę programową o stosunku gabinetu do różnych partyj politycznych.

I do późnego wieczora w cichem zazwyczaj miasteczku Tréguier rozlegały się pieśni i okrzyki, którym odpowiadały z ukrycia świstawki klerykałów.

Tak więc zakończył się ów dzień, przeznaczony na złożenie hołdu człowiekowi, który był uosobieniem tolerancyi filozoficznej i religijnej, a który pomimo tego stał się za życia i po śmierci przedmiotem wściekłych napaści i oszczerstw tych, których Syllabus nauczył wyklinać to wszystko, co dzieli uczonego, myśliciela, wolnego obywatela od istoty nieświadomej i niewolniczo podległej tyranii księży. A pragnął on przecież tylko, aby na jego grobie był napis:

Veritatem dilexit... (z)

Ochrona pracy w Nowej Zelandyi.

Pisano już u nas nieraz o prawach nowozelandzkich, dotyczących stosunku pracy i kapitału; zwykle jednak zwracano uwagę na ustawy, zapobiegające strejkom. Istotnie, Nowa Zelandya pierwsza wprowadziła przymusowo sądy rozjemcze między kapitalistami a robotnikami, sądy złożone z przedstawicieli jednych i drugich, oraz z bezstronnego prezesa, mianowanego przez rząd; chcąc mieć rękojmię posłuszeństwa wyrokom tego sądu, prawodawca musiał prawo przedstawicielstwa i uciekania się do sądu wogóle przyznać jedynie organizacyom robotniczym, które wpisywane są w rejestr i materyalnie odpowiedzialne za naruszenie w fabryce spokoju przez sąd rozjemczy ustanowionego. Tak samo odpowiedzialni są i przedsiebiorcy. To prawo, powtarzamy, największą cieszy się sławą i znalazło naśladownictwo w niektórych państwach australskich i po części w Kanadzie. Jednakowoż jego wartość właśnie jest najbardziej sporna, i kiedy p. Millerand, jako minister handlu, zapragnął wprowadzić je we Francyi, choć ze znacznemi zmianami i złagodzeniami, to *obie* strony interesowane, tak fabrykanci, jak robotnicy, wystąpiły ze stanowczym protestem, wskutek czego projekt został pogrzebany.

Natomiast Nowa Zelandya posiada szereg praw ochronnych dla robotników, które nie są tak sensacyjne, tak sławne, ale zasługują doprawdy na bliższe poznanie.

W pierwszym rzędzie — właściwe prawo fabryczne, wydane w r. 1891, zreformowane w r. 1901, uderza swą rozciągłością, nie robi żadnej różnicy między fabryką a warsztatem rzemieślniczym, nie cofa się przed pracowniami, niemającemi motoru mechanicznego, albo przynajmniej 20 robotników — co zresztą odpowiada drobnoprzemysłowemu raczej charakterowi kraju — lecz rozciąga się poprostu na wszystkie pracownie, w których *przynajmniej 2 osoby* trudnią się wyrobem towarów, czyli rzeczy, nie na własne spożycie przeznaczonych. Dawniej to *minimum* oznaczone było na 3 osoby, lecz w r. 1901 obniżono je do dwóch, dzięki czemu dziś nadzwyczaj mało robotników nie korzysta z opieki prawa. Orzeka ono, że dzieci do lat 14 wogóle w przemyśle i rzemiośle zatrudnione być nie mogą, a od 14 do 16 — tylko za każdorazowem, specyalnem pozwoleniem i tylko, jeśli ukończyły obowiązkową naukę szkolną. Dzieci, zarówno jak kobiety, mogą pracować tylko 45 godzin na tydzień (czyli po 8 godzin dziennie, a 5 — w sobotę). W wyjątkowych wypadkach dozwolona jest praca nadprogramowa, ale *musi* być ona opłacana *drożej*, niż praca programowa, co stanowi najlepszą klapę bezpieczeństwa przeciw przedłużaniu dnia roboczego, o ile nie jest ono istotnie chwilowo niezbędne; zresztą dla dzieci i kobiet najwyższa, dopuszczalna ilość godzin nadprogramowych jest w prawie ściśle oznaczona i bezwarunkowo przez inspektorów przestrzegana. Czas roboczy mężczyzn, jak przeważnie w krajach kultury brytańskiej, nie jest prawnie oznaczony; ale oznaczają go na żądanie stowarzyszeń robotniczych — sądy rozjemcze, przymusowe, dla zapobieżenia strejkom; prawie wszędzie wynosi on 48 godzin na tydzień, godziny nadprogramowe muszą być drożej opłacane. Dalej, dla dzieci i kobiet oznaczoną jest płaca minimalna: 5 szylingów na tydzień; taniej im płacić niewolno, aby fabrykant nie miał pokusy do zastępowania niemi mężczyzn dorosłych! W kopalniach kobietom i młodzieży do lat 18 wcale pracować niewolno! Kobiety i młodzież muszą mieć, oprócz świąt ogólnych, jeszcze dodatkowo pół dnia w tygodniu wolne; robotnicy wogóle muszą mieć wszystkie święta i dni wolne opłacane, jak powszednie — zwykle podług cenników ustanowionych przez sądy przymusowe. Tak zwanemu „systemowi wypacania“ (sweating system), czyli wyzyskowi rzeczywistego wytwórcy przez szereg pośredników, zaradzono radykalnie w ten sposób, że — przynajmniej w fachu krawieckim, gdzie system ten najwięcej się panoszył — zupełnie zakazano używania pośredników.

Prawodawstwo ochronne, nowo-zelandzkie różni się dalej tem od europejskich, że rozciąga się i na pomocników handlowych (r. 1894—1901); wprawdzie godzina zamykania sklepów nie jest nakazana, jak w paru innych koloniach australskich, ale za to przynajmniej dla kobiet i młodzieży do lat 18 *maximum* pracy w ciągu tygodnia oznaczono na 52 godziny. Biura zaś muszą być zamykane o 5-ej po południu, w sobotę nawet o 1-ej. Wszyscy pomocnicy handlowi mają oprócz świąt zwykłych, pół dnia w tygodniu wolne; którego mianowicie dnia, to oznacza zarząd każdego miasta, zwykle jest to czwartek.

W krajach kultury brytańskiej przeważnie mało jest rozwinięty system prawodawczy ubezpieczenia robotników od wypadków nieszczęśliwych, od choroby i na starość; pozostawia się to zwykle stowarzyszeniom samych interesowanych. Jednakowoż co do wypadków kalectwa przy pracy, to Nowa Zelandya, która dawniej poprzestawała na pociąganiu przedsiębiorcy do odpowiedzialności finansowej tylko w razie winy jego lub jego zastępców, w r. 1900 przeszła — idąc za ogólnym prądem kultury europejskiej — do zasady odszkodowania każdego robotnika okaleczonego przy pracy, względnie jego rodziny, o ile tylko wypadek nie był *umyślnie* przez niego spowodowany. Odszkodowanie dochodzi do sumy 400 funtów sterl. (4,000 rb.). Przedsiebiorcy ubezpieczają się od tego wyzysku, a sądy rozjemcze, okręgowe pilnują, aby dawana w ten sposób robotnikom rękojmia była poważną.

Robotnicy wiejscy o tyle korzystają z ochrony prawa, że specyalni inspektorzy, uzbrojeni w moc nakładania kar na przestępców, pilnują, żeby ci ostatni dawali porządne pod względem hygienicznym mieszkania robotnikom, zajętym przy strzyżeniu owiec.

Wspomnieć jeszcze należy o „Truck-Act,“ zakazującym wypłaty w naturze lub

kwitkach (z wyjątkiem drwali, pracujących daleko od miasta); o „Wages-Acts,“ nakazującym wypłatę najmniej co tydzień i zabraniającym wytrącania z płac robotnikom rat na ubezpieczenie od wypadków; o prawie z r. 1895, orzekającem, że zarobek robotniczy poniżej 2 funtów sterl. tygodniowo nie może być zajmowany za długi; o innem prawie z tegoż roku, rozciągającem ścisłą kontrolę nad biurami stręczenia pracy.

Inspekcya, doglądająca również hygieniczności pracowni i bezpieczeństwa urządzeń mechanicznych, jest bardzo surowa, tak że wszystkie powyższe prawa są rzeczywiście wykonywane.

Wreszcie obrazu dopełnia prawo z roku 1899, „Labour Day Act,“ na mocy którego dzień, uznany przez nowozelandzkich robotników za świąteczny, mianowicie druga środa października, uznany został za święto urzędowe dla całego kraju.

K.

Z kursów akademickich

W SALCBURGU.

II.

Dwutygodniowe kursa wakacyjne nietylko podziałem na siedmiodniowe „półrocza“ ale nawet „fakultetami“ przypominają prawdziwy uniwersytet: mamy wykłady społeczno-historyczne, literackie, prawnicze i ekonomiczne. Niektóre fakultety co prawda reprezentuje skromnie jeden tylko profesor, ale kursa tegoroczne to przecież tylko zaczątek przyszłości, zaznaczenie kierunku rozwoju.

Mimo szczupłych rozmiarów, w jakich nowa instytucya do życia powołaną została, nie brak tu i pewnej rozrzutności: rozrzutności ciekawych tematów, interesujących osobistości profesorskich, budzących zajęcie i przykuwających myśli do przedmiotu — nawet wtedy, gdy ostatnie ich słowo już przebrzmiało. Breysig („Porównawcze dzieje Europy“) i Toennies („Historya poglądów społeczno-filozoficznych“) należą właśnie do takich indywidualności, a tak są odrębni, że choć ich dzieli może niewielka różnica wieku, zdają się uosabiać dwie generacye. Toennies, schorzały i znękany, z oczami głęboko osadzonemi i łysą czaszką uczonego, zwolna, jakby szukając wyrażeń, rozwija bieg swych myśli i, trzymając się ściśle chronologicznego następstwa ludzi i zdarzeń, schodzi w głąb ostrożnie, pozornie z pewnem wahaniem, ale przytem z celem tak jasno wytkniętym, że słuchacze, jakby pod wpływem suggestyi, cel ten widzą i dalszą już drogę razem z mówiącym odbywają. Breysig, silny i wytworny, o twarzy mocno przypominającej Nietzschego, podniecający się dźwiękiem własnego głosu, przebiega myślą równocześnie wiele krajów i wieków, mija przestworza w jednej chwilce, a zatrzymuje się długo na drobnej piędzi ziemi, w krasomówczym zapale zdolny do najwyższych wzlotów, które złośliwy przypadek nieraz na koziołki zamienia. Pełno u niego porównań i obrazów, z pewnem zadowoleniem zaznacza on, że zna równie dobrze muzea włoskie, jak przyrodę alpejską, choć nie mniej od Toennisa przykuwa uwagę słuchaczów swym głębokim, miękim głosem, nie prowadzi, nie kieruje ich myślą. Podnieca fantazyę, zadziwia, ale budzi przytem nieufność, która wzbrania mu wejścia do serc. Z pesymizmu Toennisa, widzącego w otaczającej nas kulturze złowrogą przewagę krytycyzmu, znamię rozkładu i niemocy, a w rozszerzeniu się jej na warstwy niższe—powiększenie przestrzeni złem objętej, więcej wieje prawdziwego uczucia i ciepła, niż z bojowej pobudki Breysiga, która pragnie walki, „bo walka to ruch, a ruch to piękno!“

Krytykując dawniejsze sposoby przedstawiania dziejów, owe historye królów i bitew, które jego zdaniem przeważają jeszcze u Rankego, starał się Breysig w pierwszym zaraz wykładzie ograniczyć dziedziny, gdzie działalność wybitnych jednostek wpływa kształtująco na bieg wypadków, od dróg, któremi dążą masy, zacierając znaczenie istnień indywidualnych. Materyalizm dziejowy, o który pobieżnie tylko zaczepił, jest dla niego tylko programem jednostronnym, przykrojonym przez Lamprechta do wymagań mieszczańskich, metodą badań niemogącą doprowadzić do znalezienia zadawalającej odpowiedzi na pytania o genezę wielu zasadniczych instytucyj społecznych. Ciągłość i jednolitość rozwoju wydaje się Breysigowi myślą, zrodzoną w mózgach historyków i socyologów, pragnących uszczęśliwić ludzkość stwierdzaniem ustawicznego posuwania się ku wyższym formom bytu, lub przepowiednią wolnej od zła przyszłości.

Dla Breysiga dzieje społeczne, które pragnie przedstawić nie jako szereg wydarzeń, lecz impulsów i sposobów działania, dają od znanych nam zaczątków aż do chwil, których świadkami jesteśmy, zawsze jeden tylko obraz, powtarzający się w krótszych i dłuższych odstępach czasu, różny oświetleniem, barwą, ale zawsze ten sam w istotnej swej treści. Lekko skłębiona powierzchnia zaczyna mocno falować i wzbierać, fala silniejsza uderza na słabszą, zatapia ją wśród walki i ustępuje przed nową, która spokój w sobie niesie — aż z innym podmuchem wiatru gra zaczyna się na nowo. Świat starożytny, Grecy i Rzymianie, Germanie, których historya wypełnia wieki średnie i państwa nowożytne dają nam — zdaniem Breysiga — obraz zupełnie analogicznego rozwoju. Linia falista podnosi się i opada, by po wiekach paru wznieść się na innem miejscu do poprzedniej wysokości, opaść i wezbrać z tą samą mocą niezliczoną ilość razy.

Ze zmierzchu, o którym historyk wie mało, wyłania się lud z wodzem-królem na czele. Królestwo, to starożytny okres w dziejach wszystkich ludów. Breysig, zrywając z przyjętym w historyi podziałem na dzieje starożytne, średniowieczne i nowsze, widzi te okresy w dziejach każdego poszczególnego narodu. Podział pracy na zbrojnych i pracujących na zdobycie utrzymania daje początek rycerstwu, stwarza różnice społeczne, warunek walk wewnętrznych, a zatem i dziejów społecznych. Szlachta w rozmaitych krajach rozmaity wykazuje początek, ale czy jest ona plemieniem najeźdźców, czy wytworzyła ją potrzeba obrony wewnątrz jednolitego pierwej społeczeństwa, dąży wszędzie do silnego zespolenia się, narzucenia drugim swej władzy, staje się klasą (wiek średni w dziejach narodów!). Wolność, która pierwej była własnością ogółu, staje się własnością tych niewielu, którzy w swem rozumieniu przedstawiają cały naród. Iliada i Pieśń Nibelungów, to opowieść analogiczna o analogicznej epoce dziejów greckich i germańskich.

Od roku 750—500 przed Chrystusem mamy w Grecyi schyłek wieków średnich. Królestwo korzy się przed silną szlachtą, a ta uciska dowolnie chłopa. Krótki następnie okres panowania tyranów-parweniuszów ustępuje erze nowszej, powstają miasta, handel i rękodzieła. W wieku czwartym przed Chrystusem widzimy imperyalizm oraz demokracyę, i odruchowe drgnienia najniższych warstw społecznych. Powstawanie ideałów humanistycznych zdaje się przepowiadać obudzenie się stanu czwartego, lecz niewolnik i, niewiele wyżej od niego stojący, proletaryusz dźwignąć ich w górę nie umie. W upadającym świecie greckim nurtują w najistotniejszej treści te same zagadnienia, które nam wiek XIX przekazał: kwestya kobieca, pragnienia emancypacyjne uciśnionych i myśl wieczystego pokoju, zespolenia we wspólnem braterstwie całego świata.

I w Rzymie pierwszy błysk światła ukazuje nam królestwo, koło którego grupuje się szlachta, wszczynająca z nim zazdrosne spory o władzę. Ucisk ekonomiczny, pod którym jęczą niższe warstwy, skazane wskutek surowych kar na dłużników, na ogromną zależność od możnych, łączących w sobie cechy feudałów i kapitalistów, wywołuje nowe kłębienie się morza Walki możnych z królami, plebejuszów z patrycyuszami, opisuje Breysig, starając się zawsze wyłusknąć z osłonek te same żywioły, tę samą treść historyi społecznej Rzymian, którą zamyka postacią Juliusza Cezara, imperatora. U tego samego skrętu falistej linii, w tymże samym punkcie rozwoju staje zawsze w długowiekowej przerwie mąż wielki, „nadczłowiek,“ jak go Breysig, wielbiciel Nietzschego, mianuje, i skierowywa prąd demokratyczny na nową drogę. Imię jego Aleksander, Cezar, Napoleon, ale duch ten sam, to samo znaczenie w dziejach, ta sama chwila objawienia.

W skokach, setki lat obejmujących, przedstawia Breysig powstanie szlachty u starożytnych Germanów (których, ku wielkiemu niezadowoleniu przeważnie niemieckiego audytoryum, odziera z nimbu cnót bohaterskich, w jakie ich ubrał Tacyt), we Francyi i Anglii, oraz zaczątki feudalizmu. Oddanie ziemi w „lenno,“ to powtarzający się wszędzie podstęp dziejowy, służący do wprowadzenia prywatnego władania ziemią, pozbawienia wolności pracujących na łanie. I znowu fale krzyżują się i kłębią: królestwo, które się w początkach na szlachcie opiera, łącznie z nią występuje, rozgląda się za nowymi sprzymierzeńcami. Stan trzeci w zapasach ze szlachtą szuka u tronu oparcia.

W obrazach, malowanych jaskrawemi barwami stawia Breysig tuż obok siebie bunty niewolników i wojny chłopskie, wypadki zmieniające ustrój polityczny potężnych państw nowożytnych z zajściami wśród ludów, znanych tylko etnografom, w areopagu i w Izbie lordów widzi tę samą myśl zachowawczą, która starszyznie chce zapewnić wpływ przeważny na losy narodu i na tle mas rzuca wyolbrzymione postacie „nadludzi,“ ucieleśnienie geniuszu, twórczej, bożej myśli. Historya społeczna, wedle Breysiga, to wieczny przypływ i odpływ oceanu, szum, bijących o brzegi fal, które szybko uciekają, znacząc swe ślady rozpryskującą się pianą. W pojmowaniu zjawisk politycznych, dla których szuka podkładu ekonomicznego, znać na Breysigu wpływ Marxa, zaś w uwielbianiu silnych indywidualności, w tym „zapachu prastarych bogów,“ który dlań bije od tronu i arystokracyi, przejawia się Nietzsche, a często też i Carlyle przemawia. Zajął on słuchaczów i olśnił, a choć, mimo piękności słowa i gestu, do którego wielką zdaje się przykładać wagę, nie dał harmonijnego wrażenia — pobudził jednak umysły i stał się przedmiotem zaciętych dyskusyj i sporów.

H. G.

FEJLETON.

Dlaczego Paweł nie mógł się porozumieć z Gawłem?

Paweł i Gaweł w jednym żyli domku,“ wszakże Paweł nie „na górze,“ a Gaweł nie „na dole,“ lecz obaj na górze. Dół tego domku był pusty, gdyż

z niego nie można było ani widzieć, jak głodne gwiazdy ścigają tłusty księżyc, ani słyszeć, jak czas kapie kroplami w otchłań przestrzeni. Przyjaciołom zaś bardzo zależało na tem, ażeby przebywać jak najbliżej nieskończoności, gdyż miewali z nią ciągłe stosunki i doskonale z nią się rozumieli. Cały świat ich nie pojmował, oni go również, natomiast nieskończoność czytała biegle w ich duszach i powierzała im wszystkie swoje tajemnice. Ale pewnego dnia spostrzegli z przerażeniem, że zgodność ich myśli i uczuć naruszyła się, że powstały pomiędzy nimi różnice przekonań, które coraz bardziej rosły i groziły częstą waśnią, a nawet zupełnym rozbratem. Należało zażegnać niebezpieczeństwo stanowczem wyjaśnieniem.

Był wieczór. Natura weszła w nastrój tatarakowy, powietrze przesiąknięte było piżmem słonecznika i kopru, a gwiazdy wyjadły księżycowi pół twarzy. Towarzysze długo milczeli w zadumie, wreszcie Paweł odezwał się:

— Czy wierzysz, że olejek sztuki wydaje woń nawet w miliardowem rozcieńczeniu?

— Wierzę — odrzekł Gaweł. — Czułem go wyraźnie w zębie mamuta, ozdobionym rysunkiem pierwotnego człowieka.

— Dobrze. Więc czemu przeczysz, że liliowa głębia niemocy rzuca blaski przedświtu?

— Bo noc jest matką dnia, a nie jego kochanką. Ona nie wyczerpuje swego życia orgią, nie umiera, lecz kryje się do komnaty, ażeby synowi nie przeszkadzać w kąpieli słonecznej, którąby ją raziła wstydem. Jest to najcnotliwsza z kobiet.

— Noc — cnotliwa? Ha, ha, ha! Opiekunka zbrodni i rozpusty, pijana Astarte! Przyjrzyj się jej płaszczowi, splamionemu krwią i błotem! W niej tylko jedna rzecz jest wielką i dobrą — czarność. W jej gęstym mroku barwy nie warczą, nie wyją, nie szczekają na spokój, który leży na dnie bezdennego oceanu życia i patrzy urągliwie, jak nad nim po wierzchu fal pływają filisterskie okręty z pieprzem i cynamonem.

— Przypuśćmy, że tak jest. Ale w takim razie co począć z majestatem burzy, która nie dosięga tego spokoju i targa powierzchnią morza? Czy ona nie jest wspaniałą? Czy zatopiony przez nią statek nie wyrzuca przed śmiercią dzikiego okrzyku, który jest błogosławieństwem potęgi wiatru?

— Ze statkiem toną handlarze, włóczęgi i szczury — istoty, które nie mogą nawet w konaniu zdobyć się na piękny ryk. Huragan depcze je, jak robaki, nie wiedząc, że coś żywego rozgniótł swemi stopami.

— A po morzu, po huraganie, po najwyższych szczytach siły przechodzi z zimną krwią duch wszechświata, dla którego one są niedostrzegalnymi pyłami. W oczach ma słońca, na głowie wianek zórz i uderza młotem w dzwon czasu, wybijając godziny bytu. Wyznaj szczerze, czy wobec niego nie doznajesz dreszczów nieskończoności?

— Doznaję ich również wobec wrzosów, okadzających gody jesieni, wobec ciszy zimowej, spoglądającej lodowatemi źrenicami na stężałe od strachu drzewa. Nie, mój przyjacielu, źródło świętych dreszczów nie jest jedno, lecz tkwi w każdem tętnie natury. Ona przemawia tylko symbolami: pleśń ma naprzód barwę białą, a potem zieloną — barwę nadziei. To znaczy, że śmierć jest końco-początkiem wszechrzeczy.

— Gdyby wieczność odsłoniła nam w tej chwili swoje oblicze, zobaczyłbyś na niem szyderczy uśmiech. Końco-początek w ramach bezmiaru! Co za paplanina!

— Dość tego! Mądrość może ustąpić z drogi głupocie, ale jej się policzkować nie da.

— Żegnam.

I dwaj przyjaciele rozstali się wzajemnie obrażeni, a chociaż przenieśli potem swój spór do literatury, nie porozumieli się dotąd. Dlaczego? A może zgoda nastąpi dopiero wówczas, gdy oni sami siebie zrozumieją?

Go—on.

PAMIĘTNIK.

Czyn obywatelski.

Naprzód mamy nowy, obcy i niezrozumiały wyraz, za czem — jak wiadomo — zawsze przepadamy. Są literaci, którym możnaby przez rok trąbą Jeryhońską wdymać w uszy, że „konflikt“ znaczy po polsku „starcie,“ oni dalej używać będą konfliktu. Podobnież nie wyrzekną się nigdy *exposé* lub *tournée*. Łatwo więc wyobrazić sobie, jaką rozkoszą napełnił nas „dopping.“ Takiego przysmaku język nasz dawno już nie otrzymał. Przypuszczamy, że ten wzgląd był pierwszą pobudką do wspaniałomyślnej ofiary p. Kleniewskiego, który wyznaczył trzy nagrody w sumie 7,000 rb. za wykrycie „doppingu.“ Ale niewątpliwie działał tu także powód drugi, może jeszcze ważniejszy. W chwili, kiedy kraj poniósł kilkadziesiąt milionów rubli strat od powodzi, kiedy tysiące dotkniętych klęską z przerażeniem oczekuje zimy, kiedy gromady młodzieży szkolnej nie mają czem opłacić wpisów, kiedy rubryka ofiar prasy codziennie najrozmaitszymi głosami woła o jałmużnę — w takiej chwili nie można lepiej zużytkować pieniędzy, niż ofiarować „1,000 rb. temu, kto stwierdzi zadawanie koniom wyścigowym doppingu (zastrzykiwanie środków podniecających) przez żokieja, 2,000 rb. temu, kto stwierdzi zadawanie doppingu przez trenera lub kierownika stajni i 4,000 rb. temu, kto stwierdzi, że koń został doppingowany przez właściciela.“ Jeżeli ktokolwiek nie posiada jeszcze wprawy w rozeznawaniu czynów obywatelskich, niech sobie ten weźmie za probierz, a nie będzie miał żadnych wątpliwości. Zarazem przyznać trzeba, że taki czyn mógł się narodzić tylko w warstwie społecznej, która ma pretensyę do przodownictwa, do największej dbałości o dobro powszechne, do najlepszego rozumienia interesów narodu i — najgłębszego szacunku ze strony opinii publicznej.

Za wiele hałasu.

W swoim czasie, z powodu broszury Witkiewicza, oświetlaliśmy „Bagno“ zakopiańskie, które rzeczywiście należało ukazać i należy wyszlamować. Od tej pory nie ustaje w prasie ciągła wrzawa nad tem błotkiem, podniecona naprzód procesem dr. Chramca przeciwko Witkiewiczowi we Lwowie, a obecnie zbiorową obroną gospodarki gminnej w Zakopanem, przesłaną do pism warszawskich. Po tej obronie nie uczuwamy potrzeby łagodzenia naszego sądu w tym przedmiocie, ale musimy przyznać pewną słuszność głosom, twierdzącym, że z pod Giewontu leci w świat trochę za dużo hałasu. Ponieważ jest to ulubione miejsce letniego zlotu lub stałego pobytu literatów, którzy wogóle są żywiołem burzliwym, a w stosunkach z redakcyami znajdują łatwo upusty dla swych wynurzeń, więc ich gwar nadaje tak przesadne znaczenie owemu zakątkowi i jego sprawom, jak gdyby tam ważyły się losy narodu. Tą drogą zyskał swą sławę styl zakopiański, język zakopiański, a teraz waśnie zakopiańskie. Doprawdy, nieraz zdaje się, że rozstrzygnięcie zagadki naszego bytu zależy od tego, czy na Krupówkach ułożone będą chodniki i czy dr. Chramiec zostanie nadal wójtem zakopiańskim.

Zboczenie.

Rozpatrując bacznie stosunki proporcyi i wydajności pracy społecznej u nas, uderzy na wstępie charakterystyczna nieprawidłowość. Uwydatnia się ona rażąco w sferze naszej działalności filantropijnej. I tak: z ogólnej liczby jednostek, bezinteresownie poświęcających trud swój dla dobra publicznego, zaledwie szczupła cząstka należy do klasy uposażonej dostatecznie pod względem materyalnym, większość to biali murzyni, proletaryat inteligentny. Mamy tu na myśli t. zw. czytelnie bezpłatne przy tutejszych ochronach, zawdzięczające byt swój i rozwój ludziom całodziennej pracy obowiązkowej, dla których każda godzina jest drogą, którzy nie mogą sobie pozwolić na chwilę wytchnienia, w przewidywaniu szkody materyalnej, mogącej z tej przyczyny ich dotknąć. W poczet ich wchodzą przeważnie młodzi, źle uposażeni urzędnicy, nauczycielki, krwawo pracujące na kawałek chleba, słowem wszyscy, prócz tych, co się nie rachują z czasem, posiadając go aż nazbyt wiele. A przecież ludzi zamożnych, wolnych od obowiązków pomocy zarobkowej, nie brak. Nie milkną skargi licznych „gagatków“ fortuny na nudy, nie przestają również ziewać na kanapkach „panny na wydaniu,“ oczekując na zjawienie się „zaklętego królewicza“ z dobrą posadą lub pełnym trzosem.

Czemuż więc tylko niezamożnym przypadła w udziale filantropia?

Azali ofiary „nudów“ i lenistwa nie powinny wyręczyć w takich wypadkach ludzi, przeciążonych pracą zarobkową? Czyżby nie poczuwały się do żadnych obowiązków względem społeczeństwa ponad „nudzenie się“ i — ziewanie?

Czyż to nie jest swego rodzaju zboczeniem w naszych stosunkach społecznych, nad którem warto by się było nieco zastanowić?... *d.*

Fałszywe ruble.

W niedzielnym numerze *Kuryera Warszawskiego* pan O. H. piętnuje mianem nieuczciwości, rozpowszechniony wśród publiczności naszej, zwyczaj podstępnego pozbywania się otrzymanych wypadkiem fałszywych monet; „po co ja mam tracić? mnie dali, więc i ja daję“, rozumują chwilowi posiadacze fałszywego pieniądza, starając się wepchnąć go tym zwłaszcza ludziom, którzy nie są w stanie sprawdzić natychmiast jego brzęku, jak np. konduktor tramwajowy—lub lekarz, przyjmujący dyskretnie w dłoń wsuwane honoraryum. Że do takiego czynu nazwa nieuczciwości najdokładniej pasuje, niema żadnej wątpliwości, szkoda tylko, że pan O. H. nie przytoczył czytelnikom oprócz swego zapatrywania na tę sprawę, nierównie więcej dla nich miarodajnego i wymownego poglądu, jaki ma na nią — obowiązujący kodeks karny; złośliwa ta księga w 567 artykule przewiduje za takie „oddawanie innym tego, co inni dali“ karę takąż samą, jak za zwyczajne oszustwo, tj. ordynarne, złodziejskie więzienie, połączone dla szlachty z pozbawieniem praw nawet. A sprawy takie wszczynane są częściej, niż się zdaje; szczególniej kasyerzy kolejowi, urzędnicy pocztowi itp., posiadający w pobliżu swych kas żandarmów lub policyantów, bardzo często żądają aresztowania płacących im fałszywemi pieniędzmi interesantów, którzy w najlepszym razie dopiero po uroczystem odprowadzeniu do cyrkułu i spisaniu protokułu do przerwanych tak niemile zajęć, czy interesów wrócić mogą; jeżeli zaś następnie nie dowiodą przed sądem, że się sami na fałszywych monetach nie poznali, to i na czas dłuższy tryb życia w przykry sposób zmienić są zmuszeni. To fachowe uzupełnienie artykułu p. O. H. przyda się niezawodnie publiczności naszej i wielu czytelnikom *Kuryera*.

Kwestya węglowa.

Zapewne tylko dzięki temu, że barometr pokazuje jeszcze wysoką ciepłotę, kwestya węglowa znajduje się w stadyum istnego chaosu i całkowitej niepewności, jak się rzecz ostatecznie z nastaniem zimy ułoży. Z pism codziennych każde niemal zajmuje odmienne stanowisko, zależnie od posiadanych informacyj, jakkolwiek zdaje się nie ulegać wątpliwości, że większość nie bardzo wierzy w uspakajające zapewnienia *Gazety Handlowej* i nawołuje do baczności. Nic dziwnego, bo kto się raz na gorącem sparzy, ten potem i na zimne dmucha. Podobno drobni składnicy zamierzają związać się w spółkę dla skuteczniejszej walki ze spekulantami; a zatem spekulanci są i niebezpieczeństwo z ich strony grozi. Składnicy dobrze zrobią, gdy się w spółkę zwiążę, ale zrobią dobrze jedynie dla siebie samych. Na tem spożywcy nie skorzystają nic albo bardzo mało, boć zawsze będą zależeć od dobrej woli mniejszych czy większych spekulantów, którzy z konieczności tylko własny interes muszą mieć na oku. Jedyną drogą wyjścia z tego położenia jest zrzeszenie spożywców w celu zupełnego ukrócenia i uniezależnienia się od pośrednictwa osób trzecich. Jest to prawda tak prosta, że chyba nie potrzebuje dowodzenia. Po dwóch zimach ciężkiego doświadczenia jesteśmy już bodaj przygotowani do działania na własną rękę, a to tembardziej że akcya komitetu obywatelskiego chyba nie wystarczy wobec zupełnie szłusznego wymagania kopalni, aby brał od nich węgiel nietylko w zimie, ale i w lecie. Warunek ten ze strony kopalni zupełnie zrozumiały i godziwy jest dla chwilowego komitetu bardzo uciążliwy, a bodaj nawet wprost nie do przyjęcia. Wobec tego nie pozostaje nic innego, jak oddać się na łaskę i niełaskę spekulantów lub ująć rzecz we własne ręce i postawić sprawę na racyonalnym gruncie samopomocy i organizacyi społecznej. Wkrótce pokaże się, czyśmy dorośli już do stanowienia o sobie samych, czyli też ciągle potrzebujemy jeszcze nianiek, chociażby nam one nosy rozbijały i szkodę przynosiły.

BADANIA NAUKOWE.

SPOSTRZEŻENIA nad najnowszą historyografią polską.

II.

Jeszcze o prawdzie w badaniach historycznych Prof. Szymona Askenazego.

(Dokończenie).

Krytykowałem rozprawkę, obejmującą pięć kart druku. Wziąłem ją za przedmiot swych spostrzeżeń dlatego, żem się dość dokładnie zapoznał z historyą konfederacyi targowickiej. Po wielu latach badań specyalnych mogłem *Odgłosy Targowicy* roztrząsnąć *bez nakładu trudów*. P. Askenazy niezadowolony jest z mego wyboru. „Wybór taki — pisze — zgadza się bardzo dobrze... z tym obyczajem metodycznym... krytyki, wedle którego zaleca się obierać jak najmniejszy objekt krytyczny, aby tem snadniej wyładować na nim moc krytyczną.“

Muszę zapewnić p. Askenazego, że poszedłem za tym „obyczajem metodycznym,“ według którego pisać należy o tem tylko, co się zna dokładnie; nie moja zaś wina, że *Odgłosy Targowicy* stanowią „najmniejszy objekt krytyczny.“

Nie decydowałem, czy *Odgłosy* stanowią „probierz przeciętnej wartości całej... produkcyi“ p. Askenazego. Obecnie mogę stwierdzić, że to nie „jakiś wyjątek pośród... produkcyi naukowej, który mógłby wyjątkowo chybić...“

W tej samej książce, w której pomieszczone są *Odgłosy Targowicy*, znajduje się rozprawa p. t. *Przedostatnie bezkrólewie* — obszerna, bo obejmująca 174 strony tekstu i 15 kart przypisów. Przedstawia ona zawiłe komplikacye polityczne ogólno-europejskie, wywołane śmiercią Augusta II. Całości jej nie będę roztrząsał dla dwóch powodów: 1) nie badałem specyalnie zawikłań politycznych europejskich z tej doby; 2) nie jestem w stanie kontrolować wykładu p. Askenazego. Ten drugi wzgląd jest najważniejszy. Niepodobna mi wykładu p. Askenazego kontrolować dlatego, że, chociaż dołączył do tekstu obszerne przypisy, nie zaopatrzył go takiemi cytatami, jakie spotykamy w dziełach zwykłych historyków-śmiertelników. Cytaty p. Askenazego to jakieś — jak się ktoś wyraził — migi graficzne, jakieś znaki masońskie, dla których rozwiązania należałoby stworzyć osobną katedrę uniwersytecką i powołać na nią — oczywiście autora *Odgłosów Targowicy*. Trzeba zaś wiedzieć, że p. Askenazy poczytuje cytaty za rzecz zbyteczną. W rozprawce: *Metody i warunki krytyki naukowej* taką wygłasza opinię:

Umiejętny krytyk fachowy nie powinien dopiero od krytykowanego autora uczyć się bibliografii przedmiotu i wskazań archiwalnych. Powinien być uzdolniony do samodzielnej oceny krytykowanych wywodów i sprawdzenia ich, jeśli, gdzie i jak potrzeba...

Mniemam, że, jeżeli krytyk nie powinien uczyć się od krytykowanego autora bibliografii przedmiotu, to ma prawo żądać od niego przynajmniej „wskazań archiwalnych,“ bez których do właściwego źródła nie trafi.

P. Askenazy twierdzi, że cytacye „winny koniecznie być wymagane od historyków początkujących, jako niezbędny środek fachowego wyszkolenia, a zarazem jako warunek wstępu do zaufania w piśmiennictwie naukowem“; zapewnia, że on sam „przestrzega go (wymagania cytacyi) oczywiście najściślej... jak ongi względem siebie, tak dziś względem uczniów swoich.“

Nie wiem, któremi to pracami p. Askenazy zdobył sobie wstęp „do zaufania w piśmiennictwie naukowem...“ Jeżeli zaufanie takie zdobył sobie „ongi,“ to go nadużył nietylko w *Odgłosach Targowicy*, lecz i w *Przedostatniem bezkrólewiu*. Dowiodę tego, przedstawiając próbki jednego tylko rodzaju wiedzy p. Askenazego, złożonej w tej rozprawie — znajomości prawa publicznego polskiego.

* * *

Co się tyczy (pisze p. Askenazy) dystrybutywy najwyższych właściwych urzędów konstytucyjnych, hetmańskich i kanclerskich, to z tą wstrzymywano się rozmyślnie. Trzymano je w odwodzie... Ułatwiony był ten manewr przez przepis ustawodawczy, zaprowadzony na ostatniej pacyfikacyi, a wymagający, aby najpierwsze urzędy nieinaczej od króla rozdawane były, jak na sejmie (str. 18)...

Informacya p. Askenazego jest nieścisła. W przepisie pacyfikacyjnym z r. 1717 niema mowy o tem, żeby „najpierwsze urzędy nie inaczej od króla rozdawane były, jak na sejmie.“ Jest w nim mowa tylko o urzędzie hetmańskim (*Vol. leg.* VI, 126). Urząd kanclerski dany być mógł również tylko na sejmie, na zasadzie jednak statutu króla Aleksandra, a nie przepisu z r. 1717.

W przededniu konwokacyi udało się przeciągnąć na stronę saską, oprócz biskupów i senatorów (str. 107)... Oddało za nim głosy.., kilkudziesięciu senatorów i ministrów, a nawet całe niemal wyższe duchowieństwo, prymas i ośmiu biskupów (str. 135)...

Kto z powyższych ustępów odgadnie pokrewieństwo konstytucyjne biskupów i senatorów? Z wykładni p. Askenazego wynika, że biskupi senatorami nie byli; wynika też i ten wniosek, że oprócz wyższego należało do obioru króla i niższe duchowieństwo, co jest przecież nieprawdą.

Wiadomo, że t. zw. generał pruski składał się z posłów ziemskich i z senatu, do którego wchodzili miejscowi biskupi, wojewodowie, kasztelanowie, podkomorzowie ziemscy i przedstawiciele miast ważniejszych. Senat i posłowie naradzali się osobno, poczem łączyli się i stanowili wspólne uchwały. P. Askenazy, nieobznajmiony ze składem ganerału, pisze:

Na sejmiku generalnym... pruskim niedopuszczono ekskluzyi cudzoziemca. Zyskani też zostali wojewodowie chełmiński, inowrocławski i malborski, kasztelanowie rawski i elbląski (str. 107)...

Skoro nie dopuścił ekskluzyi cudzoziemca sejmik generalny, tem samem nie dopuścili jej i członkowie tegoż sejmiku: wojewodowie chełmiński i malborski, oraz kasztelan elbląski. P. Askenazy, nie wiedząc, że ci dygnitarze wchodzili w skład generału, wyodrębnił ich i zmieszał z senatorami niepruskimi.

Tymczasem wybiła stanowcza godzina elekcyi. Złączyły się w Kole na Woli obadwa Stany, senat z duchowieństwem i rycerstwo, skupione razem przy chorągwiach każdego województwa,.. Prymas.., zaintonował *Veni Creator*. Poczem dosiadł konia i... zaczął objeżdżać województwa, ziemie i powiaty, uświęconym porządkiem, odbierając vota,.. Odbywał prymas ten uciążliwy objazd przez ośm godzin z rzędu... Nazajutrz od samego rana tym samym trybem odbywało się w dalszym ciągu objeżdżanie elektorów i popołudniu nareszcie doprowadzonem zostało szczęśliwie do końca... Wewnątrz Koła elekcyjnego pod Wolą nikt nie ośmielił się jawnie podnieść... protestu przeciw obiorowi Leszczyńskiego. Całe pole od krańca do krańca rozbrzmiewało jednem potężnem wołaniem na cześć Stanisława.. Wyższe samorodne czynniki.. skupiały... nawet i tę wielogłową gawiedź pospolitaków miejskich, okalających Koło wyborcze na Woli (str. 132, 133).

W tym przydłuższym ustępie w każdym wierszu mieści się nieporozumienie. P. Askenazy nie wie, co to jest *koło*, a co *pole* wyborcze; nie ma dokładnego pojęcia o procedurze elekcyjnej. Mógłby przecież nauczyć się od Lengnicha, że *kołem* nazywało się miejsce, w którem przed obraniem króla odbywały się narady senatu i posłów ziemskich. Pospolite ruszenie szlachty stawało pod namiotami po za kołem. Głosowanie na króla nie odbywało się *wewnątrz koła*, przeznaczonego na obrady sejmowe, lecz w otwartem polu. Ogół szlachecki nie pomieściłby się w kole. Dlatego to prymas na objazd szlachty, rozlokowanej na wielkiej przestrzeni pola, musiał tyle czasu poświęcić.

Zerwanie sejmu z r. 1732 p. Askenazy przedstawia nie na podstawie dyaryuszów, których mamy parę drukowanych *), lecz według bardzo podejrzanej, choć efektownej relacyi pewnego szlachcica. Szlachcic ten traktamentem i pieniędzmi ujął sobie jednego z posłów i podyktował mu taką racyę zerwania sejmu:

Ponieważ prawo każe na pierwszym dniu marszałka obrać, a my już przeciw oczywistemu prawu kilka niedziel na tej trawimy elekcyi, zatem, solennissime o zgwałcenie prawa tego protestując się, wychodzę.

P. Askenazy powyższą argumentacyę oświetlił następującą notą:

Nejdzikszy oczywiście pomysł: należało tylko bez zwłoki przystępować do wyboru marszałka, ale nigdzie mowy nie było ani w prawie, ani we zwyczaju, żeby ten wybór miał koniecznie pierwszego dnia dojść do skutku — co też, ostatnimi zwłaszcza czasy, rzadko na którym, nawet z doszłych, zdarzało się sejmie (str. 444).

W takim okrzyku oburzenia któżby śmiał podejrzywać ignorancyę p. Askenazego? Ktoby przypuścił, że najniesłuszniej zwymyślał szlachcica za to, że znał prawo i wiedział, co mówi? Konstytucya z r. 1690 głosi tak:

Dla tym prędszego skończenia sejmów... deklarujemy: że przy zaczęciu sejmu najpierwej, po obraniu dnia pierwszego urodzonego marszałka poselskiego, mają się uspokoić etc. (*Vol. leg.* V, 371).

*) Teka Podoskiego, t. IV, str. 107, 150.

W celu dokładniejszego oświetlenia tej konstytucyi i zapobieżenia wątpliwościom dodam, że szlachta województw kujawskich taką posłom swoim na sejm z r. 1733 dała instrukcyę:

Aby ichm. pp. posłowie... *ante omnia* utrzymując konstytucyę *anni* 1690 o porządku sejmowania, zaraz pierwszego dnia *urgeant executionem* tegoż prawa przez obranie marszałka, żadnemi *ex quocunque motivo et praetextu* pochodzącemi *et hunc gradum* sejmowania tamującemi ilacyami niepozwalając *morari satisfactionem temu prawu* *).

Nie brak i innego rodzaju błędów. Naprzykład o Antonim Potockim p. Askenazy pisze:

Przez matkę, urodzoną Sałtykównę, ciotkę Anny Iwanówny, był kuzynem carowej panującej **).

Matką Antoniego Potockiego była nie *urodzona* Sałtykowna, lecz Teresa Tarłówna!

Mógłbym z rozprawy p. Askenazego przytoczyć ustępy, w których niema żadnego ładu rzeczowego i ideowego, w których niełatwo doszukać sensu.

O rozprawie *Przedostatnie bezkrólewie* mogę wyrzec to, com powiedział o *Odgłosach Targowicy*: nie wiem, czy jest najlepszą, czy też najgorszą w dorobku naukowym p. Askenazego.

* * *

P. Askenazy należy do tych pisarzy współczesnych, którzy otumaniają publiczność krzykliwością frazesu. W pismach jego znajdujemy pełno pretensyonalnych przykazań i sentencyj na temat „surowych wymagań i ścisłości naukowej,“ potrzeby „rewizyi“ aktów, „prawdziwej“ wiedzy, „zdrowej“ krytyki itp. Nie tai też — i przypomina to przy każdej sposobności— że dzieje nowożytne polskie wznosi na „poziom... poważnej, ścisłej, a przecie lotnej, spółczesnej nauki europejskiej.“ Należałoby schylić głowę przed prawodawcą nauki historycznej wogóle, przed twórcą dziejów polskich, nowożytnych w szczególności, gdyby jego działalność reformatorska nie ograniczała się na samych tylko przechwałkach.

Wykazałem chyba dostatecznie, jak p. Askenazy przestrzega wymagań ścisłości naukowej, jak rewiduje akty, jak się obchodzi z prawdą. W zabiegach około wzniesienia dziejów nowożytnych, polskich na „poziom... poważnej, ścisłej, a przecie lotnej, spółczesnej nauki europejskiej“ zadokumentował w swych pismach tylko *lotność*, zasadzającą się na lekceważeniu materyału dowodowego, na improwizowaniu faktów i stosunków dziejowych. Szybując w przestworach bez balastu dokumentów, bez busoli prawideł naukowych, p. Askenazy gubi z oczu prawdę, a tem samem nie robi żadnej przysługi dziejom polskim, nowożytnym. Właśnie metoda p. Askenazego uzasadnia panujące — jak to sam podnosi— o dziejach nowożytnych pojęcie „jako o przedmiocie wcale interesującym, ale też dosyć tanim, należącym raczej do jakiejś pół-nauki, prawie do polityki, gdzie bez wielkiego zachodu, bez długiego mozołu można dać sobie radę, można uczyć, pisać i sądzić.“ Inaczej mówiąc, p. Askenazy zamiast dla uprawy dziejów polskich, nowożytnych wywalczać poszanowanie, robi jej niedźwiedzią przysługę: kompromituje ją w oczach badaczów okresu średniowiecznego, wymagających przedewszystkiem ścisłości naukowej.

P. Askenazy tak dalece lekceważy ścisłość w szczegółach, że głosy krytyczne, które wywołał swą *lotnością*, poczytuje za „bezpłodne i bezcelowe, płaskie i tanie...“ Domaga się „dużej, poważnej krytyki nowożytno-historycznej.“ Żąda sporów wielkich, takich np., jakie się toczyły na zachodzie o genezę i charakter wstrząśnień rewolucyjnych, o wojnę siedmioletnią itp.

Tak! podobne spory byłyby bardzo pożądane, ale do podjęcia i prowadzenia ich trzeba przedewszystkiem stosownego objektu — wielkich, prawdziwie naukowych dzieł historycznych. P. Askenazy nietylko takiego objektu nie dostarczył, lecz nie wyszedł jeszcze z niemowlęctwa naukowego i dlatego dziecinna jest jego pretensya, że krytycy, zamiast prowadzić z nim spory wielkie, pokazują mu abecadło dziejopisarskie.

Władysław Smoleński.

*) Pawiński: „Rządy sejmikowe,“ t. V, str. 3.

**) Niech czytelnik nie sądzi, żeby wyrażenia *urodzona* Sałtykówna p. Askenazy użył przypadkowo. Zna on i *urodzoną* Mniszchównę (str. 71), tak samo jak *Zubowych, Stanisławców* i *Augustowców*. Nie będę przytaczał innych *kuryozów*.



ODGŁOSY.

Gustaw Daniłowski: *Dwa głosy*, nowele z ilustracyami K. Gorskiego. Nakład Gebethnera i Wolffa. Warszawa, 1903.

Dwa głosy — dwa światy! Jeden ginie gdzieś w mrokach, tonie w oceanach nędzy, szumi wezbranemi falami łez, wyciśniętych niedolą, skarży się, walczy i cierpi. Drugi błyszczy pożyczanym blaskiem, stroi się w pawie pióra i pod tarczą szumnych frazesów ukrywa potworne widmo egoizmu.

Dwa głosy — dwa sumienia! Inne dla siebie, a inne dla bliźnich. Dwie te same miary, jednem i tem samem ochrzczone mianem, a dwa zastosowania.

Dwa głosy — dwie skargi, bijące w niebo niemilknącym głosem wiekowego bólu, tłumionego wściekłą bezsilnością, a płynące podziemną rzeką rozpaczy.

Dwa głosy — dwa krańce!

Czasami krańce te łączy most-miłość, czasami dzielącą je przepaść, pogłębia podłość i bezprawie. Czasami znowu dwa głosy łączą się ze sobą i wytwarzają potężny, a bolesny akord, w którym już trudno je rozróżnić.

Oto nędzarz-kaleka bezdomny w napadzie szaleństwa wyciąga zaciśnięte pięści ku niebu i bluźnierczym okrzykiem wzywa mocy piekielnych. Straszny jest ten okrzyk i straszny musi być człowiek, który się tak niegodziwie modli. Przyjrzyjmy się bluźniercy. Na daszku lichego domostwa (tam włóczęga wynalazł sobie schronienie nocne) „z ręką, podwiniętą pod głowę, leżała na wznak wyciągnięta postać odrażająca. W strzępach rozłażących się łachmanów żółciało spaloną skórą wychudłe ciało żebracze. Na jednej z bosych nóg, pożartych bliznami, ślimaczył się powyżej kostki rozdrapany strup niezagojonego wrzodu. Odrzucona na bok, niby zbyteczna wynędzniała ręka, obwiązana szmatą koloru ścierki, drgała co moment skurczem boleści. Twarz, porośnięta kłakami lichego włosienia, nosiła również ślady świeżego pobicia... Policzki były sine i obrzękłe...“ Tak wyglądał nędzarz w chwili, gdy szał minął. „I wionęła ku mnie świetlna myśl — powiada autor — że to nie on wzywał mocy piekielnych. „To rwały się ku piekłu zgniłe szmaty łachmanów, wynędzniene ciała, rozjątrzone strupy, haniebne sińce, pobicia, bolesne skrzepy krwi, rozognienie ran...“

A oto dwa głosy — dwie skargi! Obie wołają o pomstę do nieba. Jedna, ledwie dosłyszalna, przychodzi zdaleka, jak wieść nieszczęsna, druzgocąca życie, druga, niemniej bolesna, jest tylko odgłosem pierwszej, jest jej skutkiem i zakończeniem.

Przeczytajcie „Wigilię“! I wsłuchajcie się dobrze w ten ton, który wydobył poeta ze strun, łkających cierpieniem. Przeczytajcie „Wigilię“, tę mowę szlachetnego serca przez usta, zamknięte milczeniem rozpaczy. I wniknijcie w te myśli, które, nie mogąc rozegrzmieć piorunowym grzmotem, szarpią się ze sobą w serdecznej niemocy, milkną i cichną, a jednak padają w serce, jak łzy krwawe, płynące ze wspólnego morza niedoli. Dobrze wniknijcie, bo Daniłowski głęboko wzrusza tem, co pisze, ale i milczenie jego przedziwny ma czar i niemniejszą wymowę.

Autor „Z minionych dni,“ gdy mówi, zbliża się do Żeromskiego, gdy nie domawia, staje obok Zycha. Słowa jego mają siłę, milczenie ma urok niemocy.

Daniłowski umie być smutnym, a potrafi rozgrzać. Zna duszę ludzką, lecz lepiej jeszcze zna serce. Opiewa cierpienia, a przynosi ulgę. Przemawia bezsilnością, a siły drzemiące porusza i budzi..

Dość! Czytajcie, a wyczytacie więcej, niż powiedzieć mogę!..

A teraz wyobraźcie sobie noc letnią, szarpaną wichrami i burzą. I wyobraźcie sobie, że w noc taką, stara bezdomna kobieta, „głupia baba,“ dotknięta obłędem po śmierci ukochanego dziecka, szuka przytułku. Nieszczęśliwa kobieta, gnana instynktem zachowawczym, pędzi co tchu do siedzib ludzkich, zatrzymuje się przed pierwszym, spotkanym domem, przypada do muru i drżącemi rękoma uderza w szybę. Otwórzcie drzwi domu swego dla wynędzniałej, obłąkanej kobiety bez dachu i schronienia. Otwórzcie!

Tam, za szybą, w domu, zabezpieczonym od burzy, również przebywają ludzie. Otwórzcie! — woła straszny upiór nędzy i obłąkania — otwórzcie! Do uszu jednego z mieszkańców, wsłuchanego w dziki świst szalejącej nocy, dolatuje trwożliwe pukanie. Pewnie wiatr wstrząsa futrynami okien... Wtem błyskawica rozdziera mrok gęsty i złudzenie pierzcha. To nie wiatr! Oczy, wlepione w ciemne morze mroku, dostrzegają naraz w świetle błyskawicy, przypartą do szyby, bladą, bolesnym kurczem wykrzywioną twarz obłąkanej kobiety. — Otwórzcie! — zdają się błagać drżące, posiniałe wargi — otwórzcie!

Okropny obraz! Dreszcz przerażenia wstrząsa człowiekiem, zdrętwiałym na ten widok, tysiące mrówek zaczyna krążyć mu po ciele i strach go obezwładnia na chwilę... poczem człowiek otula się w kołdrę i zasypia uspokojony.

A tam pod oknem, czekając zmiłowania ludzkiego, stoi obłąkana kobieta. Smaga ją deszcz i wicher w nią uderza... Wokoło noc... Piekielna noc... Wiatr jęczy, po niebie przesuwają się ogniste łuny błyskawic i pioruny z gruchotem walą się na ziemię. Nawałnica rośnie, wzmaga się, huczy, szaleje...

W pokoju zasypia człowiek — za szybą słychać płacz. To skarży się i szlocha rozpacz, bezduszna rozpacz, na jaką tylko największa nędza i ból człowieczy zdobyć się mogą. Szlocha i czeka miłosierdzia ludzkiego, lecz drzwi się nie otwierają. Bezpieczny mieszkaniec zasypia, a nazajutrz zbudzi się wesół, wypoczęty...

Dwa głosy — dwa sumienia!

Dwoje ludzi, dwa odrębne światy uczuć ludzkich, obce sobie i dalekie, a tak blizkie, bo przecież tylko przedzielone szybą...

Przeklęta szyba! Kiedyż pęknie i rozpryśnie się w proch?!..

Daniłowski w szybę tę uderzył. Wydała dźwięk, który długo dzwonić będzie w sercu.

Artur Śliwiński.

ZE SZTUKI.

Materyały, nr. 1 i 2. Wydawnictwo „Towarzystwa polskiej sztuki stosowanej.“

Towarz. pol. szt. stosowanej zawiązało się w Krakowie w r. 1901 z chwili znamiennej dla całej polskiej sztuki.

„Sztuka“, zastosowana do rzemiosł i przemysłu, uważana dotąd za przedmiot zaspokojenia potrzeb estetycznych niższego rzędu, podniesiona została za przykładem Europy zachodniej do godności blizkiego krewieństwa z tak zwaną sztuką „czystą,“ otwierającą podwoje swych pałaców na gościnne przyjęcie upośledzonej siostrzycy. Dotychczasowy Parjas, kalający próg świątyni sztuki „prawdziwej“ przez samo jego przestąpienie — zasiadać ma odtąd w niej stale.

Myliłby się bardzo, ktoby sądził, że wskutek tego istotna „sztuka“ została ściągnięta z wyżyn, na których dotąd się wznosiła, że postradała część swej dotychczasowej godności i powagi. Nie! przeciwnie, ta zmiana pojęć o najistotniejszych zadaniach sztuki prawdziwej spotęgowała jej moc i panowanie, otwierając jej wpływom rozległe horyzonty i odsłaniając dla jej jasnych promieni najciaśniejsze zakątki życia codziennego.

Taka dopiero „sztuka“, wymarzona przez Ruskin'a i wypieszczona w utopijnych „*Wieściach znikąd*“ Moriss'a, ukwiecająca szarzyznę powszedniości, staje się pociechą i błogosławieństwem życia. Ale, ażeby się tem stać — musi ona wyjrzeć z marmurowych, muzealnych więzień i skarbców na ulicę, wejść do każdego mieszkanka od suteren do poddasza, wycisnąć swe piętno na każdym przedmiocie, zaczynając od oprawy książkowej, kończąc na tapetach ściennych, otoczyć ciasnym pierścieniem każdego człowieka (nie garstkę wybrańców) od jego kolebki do grobowego kamienia...

Umiłowanie i pragnienie takiej sztuki, którą możnaby nazwać „powszechną“, nosi każdy z nas w sobie. Pojmujemy ją nieraz błędnie, naiwnie, ale jej pożądamy. Bo niema na ziemskim globie tak dzikiego plemienia, któreby nie posiadało pierwocin tej sztuki, zamarłych razem z jego rozwojem intelektualnym. Narzynane trzonki włóczni, pęki piór kolorowych we włosach, barwne sznury muszli i kłów na szyi — wszystko to są przejawy aczkolwiek pierwotnej, wszakże umiłowanej i upragnionej przez człowieka sztuki.

Dlatego też nie należy się dziwić, że najwyżsi kapłani sztuki „czystej“ zapragnęli wzbogacić przemysł artystyczny tworami swego geniuszu i talentu, napozór zniżając się do poziomu rzemiosł. Nadejdzie chwila, kiedy zrozumiemy, że jednaką dań artystyczną składa na ołtarzu piękna i ten, co tworzy obraz i ten, co rylcem na wazonie rzeźbi wiązanki żywych kwiatów.

Z drugiej strony z chwilą narodzin krakowskiego towarzystwa wszystkie pomniki sztuki ludowej, przechowanej w zdobnictwie czy to odzieży odświętnej, czy też sprzętu do użytku domowego, rozważane dotychczas jedynie, jako przyczynki do poznania właściwości etnograficznych ludu naszego — podniesione zostały urzędownie do godności przejawów istotnej sztuki i wskazane, jako niewyczerpane źródło motywów zdobnictwa swojskiego.

Dziwnym trafem pomniki onej swojszczyzny przetrwały przez szeregi burz i kataklizmów dziejowych nie w przepysznych komnatach zamków magnackich, ani w sklepionych świetlicach starego i możnego mieszczaństwa polskiego, zapełnionych szczelnie bogactwy kultur obcych. Szczątki zdobnictwa, dawnej polskiej kultury artystycznej przechowały się, pielęgnowane przez rozlubowane w swojszczyźnie oko i serce troskliwego konserwatora, pod polską strzechą wieśniaczą. Pilny poszukiwacz piękna rodzinnego tu skierować winien swe kroki i uchylić czoła, przechodząc przez nizkie oddrzwia do wnętrza chaty chłopa mazurskiego, — ślązaka lub górala. Wszystko, co się w niej mieści, nosi na sobie charakter mniej lub więcej wybitnej swojszczyzny, wprawdzie częstokroć naiwnej, lecz tem cenniejszej, bo szczerej i jeszcze niezatartej przez kosmopolityczną banalność konwencyonalną.

Potrzeba tylko umiejętnego spożytkowania tego materyału surowego, rozwinięcia go, wykształcenia.

Do jakich rezultatów w stosunkowo tak krótkim czasie, jużeśmy w tym względzie doszli, dowiódł bogaty dział „Usiłowań“ na zeszłorocznej wystawie krakowskiego towarzystwa w warszawskiej Zachęcie. Nie przeczę, iż były tam próby w całem znaczeniu tego słowa — liche, lecz były też i wyborne, niepozostawiające już nic do życzenia.

Tow. „Polska sztuka stosowana“ podjęło się jak najliczniejszego zgromadzenia w swoich zbiorach tych pomników naszej sztuki ludowej, lub też zinwentaryzowania tych zabytków, których przeniesienie jest utrudnionem.

Jak na paroletnie istnienie, towarzystwo w zakreślonym celu zdziałało bardzo wiele. Przez zorganizowanie w r. 1902 wystaw swych zbiorów w Krakowie i Warszawie oraz kilku konkursów, przeważnie udatnych, które dowiodły wielkiej wartości zabytków zdobnictwa ludowego dla polskiego przemysłu artystycznego oraz istotnego znaczenia samej sztuki stosowanej.

W celu jednak bardziej szerszego rozpowszechnienia znajomości cenniejszych okazów ze swych zbiorów i „dla tych, którzy bezpośrednio z prac i zbiorów Towarzystwa korzystać nie mogą,“ zapoczątkowało ono wydawnictwo „*Materyałów*“.

Dotąd wyszły dwa zeszyty, składające się z 14 *in folio* wspaniale wykonanych tablic litografowanych i cynkotypij.

Oczywiście, najbardziej interesującemi są tablice kolorowane, jako dające dokładne wyobrażenie o wyborze, umiłowaniu i charakterystycznem łączeniu barw przez nasz lud wiejski. Przeglądając je, odrazu się spostrzega wybitne odczucie harmonii barw, dopełniających się wzajemnie. Tylko gdzieniegdzie, choć rzadko bardzo, kolory kłócą się ze sobą, gdy tymczasem sam rysunek, składający się przeważnie ze stylizowanej flory miejscowej lub fantastycznej, uderza brakiem znajomości technicznych.

Takiemi są „wycinanki“ z różnokolorowego, nalepionego jeden na drugi, papieru, przyozdabiające ściany i sufity w księstwie Łowickiem (zbiory Leonarda Stroynowskiego). Zwłaszcza prześlicznem jest zakończenie frenzlowe wstążki papierowej, mogące służyć za wzór do szala jedwabnego. Natomiast „nalepianki“ w postaci gwiazd, słońca itp., wycinane z papieru jednokolorowego i nalepiane na ściany w gub. lubelskiej (zb. dra Malewskiego), zadziwiają pięknością pomysłu i misternością wykonania.

Ze sprzętów, ozdobionych malowaniem, mamy tu skrzynię z *Istebnej* ze Ślązka Austr. (zb. Jerz. Warchałowskiego), skrzynię z gub. Płockiej (zb. Kazim. Bisier.) i łóżko ze wsi *Przewóz* pow. Wielickiego (zb. Sewer. Udzieli). Z nich szczególnie malowniczą jest skrzynia płocka, mogąca służyć za wzór do polichromii na meble.

Stół, wykładany cisem, ze zbiorów Tow. Tatrzańskiego w Zakopanem, przypomina swą budową i charakterem stare stoły z dawnych dworów wiejskich w Polsce, oraz stół w krakowskim kodeksie Bema z XV stul., i stanowi przepyszny model do stylowego mebla polskiego. Natomiast trzy okazy łyżników zakopiańskich wybrane zostały niefortunnie, nie dały bowiem nic nowego temu, kto zna bogaty ich zbiór z dzieła dra Matlakowskiego.

Nadzwyczaj interesującemi są rączki czerpaków ślązkich (zb. Jerz. Warchałowskiego). Nie posiadają one wprawdzie tej misterności co zakopiańskie, są jednak niezmiernie oryginalnemi w pomysłach.

Skrzętna poszukiwaczka szczątków dawnego budownictwa polskiego, pani Bronisława Kondratowiczowa coraz więcej gromadzi dowodów, iż tak zwana dziś „zakopiańszczyzna“ architektoniczna była niegdyś stylem budownictwa w miejscowościach nieraz bardzo od Tatr odległych. „*Materyały*“ stwierdzają to jeszcze raz jeden, bo oto znajdujemy w nich fotografie słupów podsieniowych, zakopiańskich z „zestrzałami“ i „kołkowaniem“ aż w gub. Piotrkowskiej: w osadzie *Modrzejów* (pow. będziński) i wsi *Łaszczyn* (pow. Rawski). W *Modrzejewie* dochowały się nadto ślady, nieistniejącej już, bramy z kołowaniem.

Chyba przez pomyłkę w tym zbiorze materyałów sztuki *ludowej* znalazły się dwa pasy słuckie, mówiąc nawiasem, istotnie ładne. Rażą one bardzo w towarzystwie skrzyń malowanych i czerpaków śląskich. Wprawdzie fabrykacya pasów słuckich zajęła poważne stanowisko w przemyśle artystycznym polskim, jednakże po za ich nazwą i marką nie wiele one posiadają wspólnego ze zdobnictwem rdzennie polskiem. Robione na wzorach wschodnich, a nawet przez czas długi i przez obcych fabrykantów, nie zdołały nigdy wyzbyć się piętna oryentalnego. Dlatego też, zdaniem naszem, „*Materyały*“ w dotychczasowym ich zakresie nie są dla nich odpowiedniem miejscem. Pasy słuckie oddawna oczekują na gruntowne opracowaną monografię, za jaką uważać nie można dorywczej pracy ś. p. Römera. Dziwić się należy, że dotąd żaden z naszych magnatów, posiadających bogate zbiory tych pasów, nie postarał się o sporządzenie ich albumu. Zaręczyć można, że takie wydawnictwo oddałoby nieocenioną przysługę zarówno historyi przemysłu w Polsce, jak i samej sztuce stosowanej.

W ogólności stwierdzić należy, że w obu zeszytach „*Materyałów*“ widocznym jest brak jakiegobądź, z góry zakreślonego, systematycznego planu. Przedmioty do reprodukowania brane są pierwsze z brzegu, wskutek czego obok istotnie cennych znajdujemy bezwartościowe. Tem niemniej jednak za zasługę Towarzystwu poczytać to należy, że tak wybornych reprodukcyj przy tak, stosunkowo, nizkiej cenie wydawnictwa jeszcześmy dotąd nie posiadali.

Michał Brensztejn.

Notatki literackie i artystyczne.

POEZYE. Benedykt Hertz: „Bajki.“

— Emanuel ślechtic z Leśebradu: „Piśné na pobrezi.“

— Eugenia Janowska: „Z wydartych kart.“

POWIEŚCI. Józef Weyssenhoff: „Za błękitami,“ ilustr. K. Gorskiego, nakł. Gebeth. i Wolffa. „Zaręczyny Jana Bełzkiego,“ ilustr. K. Gorskiego, nakład. Gebethnera i Wolffa.

— Henryk Sienkiewicz: „Za chlebem,“ wydanie nowe, nakł. i własn. Gebethnera i Wolffa.

— T. Jeske-Choiński: „Rożycki,“ powieść na tle stosunków poznańskich, wyd. nowe, nakł. Gebethnera i Wolffa.

— Kazimierz Gliński: „W Babinie,“ powieść z pierwszych lat Rzeczypospolitej babińskiej, tomów 2, nakł. Gebethnera i Wolffa.

— Karol Irzykowski: „Pałuba,“ (sny Maryi Dunin), nakł. ks. pol. B. Połonieckiego we Lwowie.

— W. Weressajew: „Na Bezdrożu," ze wspomnień lekarza, przek. Wł. Perzyńskiego, nakł. ks. Altenberga, Lwów.

— L. Tołstoj: „Wiatronogi," spolszczył G. Daniłowski, nakł. Księgarni Naukowej.

— W. Sieroszewski: „Sibirische Erzählungen," Autorisierte Uebersetzung von M. Sutram, München 1903 dr. J. Marchlewski et Co. Verlag slavischer und nordischer Literatur.

TEATR. Ign. Józef Badowski: „Jadwiga Firlejówna" obrazek sceniczny w 2 aktach, ks. Gebethnera i Wolffa.

DZIEŁA NAUKOWE. M. Gumplowicz: „Początek religii żydowskiej w Polsce," nakł. Wende i S-ka.

— Włodz. Spasowicz: „Pisma," tom VIII.

PAMIĘTNIK. Antoni Białkowski: „Pamiętniki starego żołnierza," 1806—1814 r., wydał Wacław Tokarz, nakł. Gebeth. i Wolffa.

PUBLICYSTYKA I POLEMIKA: X. J. Ch.: „O rozumnej gorliwości kapłańskiej."

— Ks. Henryk Bolcewicz: „W kwestyi bywania księży na koncertach publicznych" — broszurka polemiczna.

SPOŁECZNE: T. Kasperek: „Baśnie a emigracya galicyjska," nakł. autora.

— Dr. Z. Kowalewska: „Uniwersytet chłopski w Szwecyi," Biblioteka spółczesna nr. 1, cena 15 kop., skł. gł. w Księgarni Naukowej.

— „Przepisy o wynagrodzeniu poszkodowanych skutkiem nieszczęśliwych wypadków robotników i oficyalistów, jakoteż ich rodzin w przedsiebiorstwach przemysłu fabr., górn., i hutnicz., Skład w Księgarni Naukowej.

DZIEŁA RELIG. X. J. Alpiński: „Ojciec i syn," wyjątki z pisma św. i ojców kościoła.

PAMFLET. Van Faron: „Na drabinie," niby fantazya.

KALENDARZE: „Kalendarz felczerski," nr. 1, 1904. nakł. *Przegl. Felczerskiego.*

KSIĄŻKI DLA WSZYSTKICH.

— F. Łagowski: „Historya literatury polskiej w zarysie," cz. III. O literaturze pol. w I-ej połowie XVII w. Cena 15.

— St. Bouffałł: „Krótki rys fizyki." O ruchu, o siłach, o energii, kop. 15

— Herman Türok: „Człowiek genialny," spolszczył J. Muklanowicz kop. 10.

MIĘDZYNARODOWY RYNEK PRACY.

Położenie na międzynarodowym rynku pracy znacznie się pogorszyło w ciągu ubiegłego lata. W Anglii, gdzie już w czerwcu pod tym względem niepokojące wystąpiły objawy, w następnych miesiącach jeszcze się mocniej zaznaczyły. Liczba pozbawionych zajęcia wzrosła z 4,5% do 4,9%, prawie o 1% więcej, niż w roku ubiegłym (4,0). Na rynku węglowym zapanował taki zastój, że trzeba było w wielu kopalniach ograniczyć zajęcia. W przemyśle żelaznym już ograniczona produkcya przewyższyła jeszcze zapotrzebowania; tu przedewszystkiem dał się uczuć zupełny brak zamówień ze Stanów Zjednoczonych. Jedynie w dziale fabrykacyi szyn stalowych ożywienie panowało dobre. W warsztatach okrętowych każdy miesiąc przynosi nowe ograniczenie zajęć. Gdy w czerwcu procent niepracujących wynosił jeszcze 9,1, w lipcu podniósł się już do 10,5. Równie źle przedstawia się stan pracy w przemyśle płóciennym i wełnianym — liczba zajętych coraz większemu ulega ograniczeniu. We Francyi podobny stan rzeczy zauważyć się też daje. Niezajętych było w czerwcu 8%, w lipcu zaś już 10,5. W przemyśle górniczym martwota, tylko w dolinie Loire'y trochę większe chwilowo było można zauważyć ożywienie. Niezwykła cisza opanowała przemysł tkacki we wszystkich jego rozgałęzieniach. Przędzalnie też prawie bezczynne. Produkcya odzieży równie niewiele dała zajęcia. Zadawalająco jedynie przedstawia się stan pracy w przemyśle budowlanym. W Austryi i Belgii położenie także się pogorszyło. W Stanach Zjednoczonych ruch słabnie. Normalnie przedstawia się tylko jeszcze w górnictwie. Zły stan rynku bawełnianego oddziałał szkodliwie na stopień zajęć w przemyśle tkackim. W handlu żelazem i stalą groźny zastój zmusza do ciągłego ograniczania produkcyi. Niezliczona ilość pieców zagasła. Trust stalowy zabójczo oddziałał na stan czynności w tym przemyśle. Pomimo że w innych działach położenie nie przedstawia się tak smutnie—ogólny wygląd rynku pracy w Stanach Zjednoczonych daje wrażenie niepomyślne.

PRASA ROSYJSKA

— *Prawit. Wiest.* w nr. 196 ogłasza: „W d. 11 b. m. w Elizawetpolu tłum Ormian miejscowych wywołał rozruchy uliczne z powodu Najwyższego rozkazu z d. 25 czerwca r. b. o oddaniu ormiańskich funduszów kościelnych pod zarząd władz cywilnych. Na wezwane wojsko Ormianie zaczęli rzucać kamieniami, poraniwszy trzech szeregowców. W celu stłumienia rozruchów wojsko było zmuszone użyć broni palnej, skutkiem czego tłum rozproszył się, pozostawiając na placu 7 zabitych i 27 ranionych. W d. 13 września w Tyflisie, po nabożeństwie w soborze ormiańskim, duchowieństwo, przy udziale dwutysięcznego tłumu, odprawiło na terytoryum cerkiewnem nabożeństwo żałobne za 6 osób, zabitych w Elizawetpolu podczas rozruchów, wywołanych przez Ormian miejscowych. Po nabożeństwie duchowny, Ter-Araratow, wygłosił klątwę za odebranie majątku świątyń ormiańskich. Przytem rozrzucane były wezwania rewolucyjne, tłum hałasował, rzucał kamienie i dał około 40 strzałów do policyi. Ta ostatnia odpowiedziała wystrzałami w powietrze, potem jednak pewna liczba osób z tłumu otrzymała rany od postrzałów, a jeden robotnik został śmiertelnie raniony. Z pośród policyantów niektórzy poranieni są kamieniami, jeden dotkliwie poturbowany. Na miejsce rozruchów wysłano kozaków, którzy tłum rozproszyli, przytem aresztowano 4 wichrzycieli, a w tej liczbie duchownego Ter-Araratowa."

— *Nowoje Wremia* w nr. 9878, w artykule wstępnym potępia w ostry sposób zaburzenia ormiańskie i w rozruchach tyfliskich widzi wymowny dowód fanatycznego oporu duchowieństwa ormiańskiego przeciw Najwyższemu rozkazowi z d. 25 czerwca r. b. Od katolikosa ormiańskiego w Eczmiadzynie domaga się publicznego potępienia zuchwałych i zaznacza konieczność gruntownego przekształcenia duchowieństwa i ustaw duchownych, ormiańskich. „Jeśli niektórym duchownym ormiańskim — kończy gazeta — uśmiecha się rola księży polskich z 1863 r., to chyba nieznajomość historyi rosyjskiej tłomaczy, iż nie wiedzą o losie tych, do których niegdyś mówił Murawjew-Wileński, „że gdy zawinią — nawet sukienka duchowna nie zdoła ich obronić."

— *Prawit. Wiest.* donosi: „Podczas zaburzeń w dniu 14 września w Homlu, Żydzi, uzbrojeni w noże, sztylety, kule i rewolwery, stawili opór wojsku, gdy chciało położyć kres boju z chrześcianami. Żydzi strzelali z domów i z po za parkanów do żołnierzy. Wachmistrz, który chciał strzelającego Żyda pochwycić, zraniony został przez innego Żyda nożem w szyję. Wogóle zabito podczas zaburzeń 4 chrześcian i 4 Żydów; ranionych jest 7 chrześcian i 8 Żydów, z których jeden umarł. Dotychczas stwierdzono, że liczba zburzonych domów wynosi 200. Aresztowano 68 osób, podejrzanych o branie udziału w wykroczeniach. Wojsko utrzymuje porządek. Oficerowie i urzędnicy sądowi określają zachowanie się policyi jako będące bez zarzutu. Tylko rozporządzeniom policmajstra można zawdzięczać, że rozruchy ograniczyły się w stosunkowo niewielkiem kole. Podług przeświadczenia dobrze myślącej ludności, przyczyny niepokojów szukać trzeba w nadzwyczaj nieprzyjaznem, wyzywającem stanowisku Żydów wobec ludności chrześciańskiej." (Powodem rozruchów stała się sprzeczka pomiędzy Żydówką, sprzedającą śledzie a kupującym je leśniczym. *Red.*).

— *Jużnyj Kuryer* podaje następujące szczegóły o zakończeniu nieporozumień wynikłych na tle niezadowolenia robotników portowych w Teodozyi: „D. 30 sierpnia przybył niespodzianie z Symferopola do Teodozyi gubernator taurycki, kamerjunker W. F. Trepow. Gebernator udał się do hotelu, gdzie natychmiast zorganizował naradę osób, mających styczność z portem i jego sprawami. Wśród uczestników narady znaleźli się brzedstawiciele domów ekspedycyjnych, przedstawiciele robotników, prezydent miasta, naczelnik portu, przedstawiciele policyi, żandarmeryi i inni. Pierwsi wypowiedzieli się eksporterzy. Wahanie się cen rąk roboczych, ich zdaniem, zgubnie może oddziałać nietylko na własne ich interesy, lecz wogóle na całą działalność portu handlowego. Gdy robotnicy zażądali podwyższenia płacy, eksporterzy pierwsi ustąpili i przystali na zwyżkę. Gdy następnie ceny uregulował naczelnik portu, oni znów ustąpili, w przekonaniu, że na ustępstwie tem zaburzenia skończą się raz na zawsze. Przewidywania te jednak nie sprawdziły się; w ciągu kilku dni nowe żądania robotników pogwałciły normy, określone przez administracyę portową. Podobny stan rzeczy, niebezpieczny dla eksporterów, doprowadzi do tego, że ładunki zbożowe wysyłane będą do innych portów południowych, gdzie wymagania robotników są normalniejsze i gdzie skutkiem tego nie grozi zbożu niebezpieczeństwo podrożenia z powodu zwiększających się niespodzianie wydatków. Rezultatem narad eksporterów było to, że podczas posiedzenia oznaczono ceny za pracę w porcie według ich wskazówek. Po zamknięciu posiedzenia gubernator w towarzystwie członków narady udał się na terytoryum portowe, gdzie zebrał się znaczny tłum robotników, których zawiadomił o wysokości cen. Część robotników zgodziła się na nie milcząco, druga zaś część głośnymi krzykami wyraziła swoje niezadowolenie. Wówczas gubernator wyznaczył robotnikom i eksporterom 2 godziny do układów i namysłu, poczem ułożoną na nowo tablicę cen przyjęły obie strony. Gubernator opuszczał terytoryum portowe, żegnany okrzykami „hura."

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. Generał-gubernator warszawski, chcąc przyjść z pomocą włościanom dotkniętym tegoroczną powodzią, polecił władzom miejscowym przedstawić sobie straty poszkodowanych w celu rozłożenia im podatków skarbowych na kilka lat następnych, jak również ułatwienia im pożyczek z kapitałów włościan b. skarbowych majątków Królestwa Polskiego.

— Ministeryum spraw wewnętrznych celem uregulowania niektórych wątpliwości prawnych w sprawach tyczących się Żydów, zwróciło się do gubernatorów Królestwa Polskiego i oberpolicmajstra warszawskiego z prośbą o zakomunikowanie ich opinji i danych co do najostrzejszych i najbardziej charakterystycznych trudności, nastręczających się przy stosowaniu obowiązującego prawa względem Żydów, oraz co do środków, jakie mogłyby być zastosowane z korzyścią w celu usunięcia tych trudności na przyszłość.

— *Nowoje Wremia* wydrukowało artykuł p. t. „Zaburzenia żydowskie w prawdziwem świetle." W artykule tym dziennik petersburski wykazuje, że głównymi winowajcami rozruchów są Żydzi i występuje więc konieczność wykorzenienia przyczyn, wyradzających niepokoje. Wyrażając żal, że niema możności wydalenia Żydów z Rosyi, proponuje reformę bytu żydowskiego, zniweczenie jego szkodliwych właściwości, czyniących żydostwo osańcowanym, wrogim obozem pośród ludności rosyjskiej. (*Kur. Warsz.*).

— W *Gazecie Polskiej* czytamy: „Na miesiąc luty roku przyszłego wyznaczono odjazd wyprawy w celu zbadania przyszłego państwa żydowskiego, Ugandy. Na czele ekspedycyi stanąć ma przywódca syonistów, dr. Herzl. O ile miejscowość okaże się odpowiednią

do celów kolonizacyjnych, syoniści założą oddzielny „Bank afrykański,“ gdyż podług ustawy istniejącego obecnie Banku syonistów w Londynie, fundusze jego muszą być przeznaczone wyłącznie na cele palestyńskie. Zebrano też osobne ofiary na koszta wyprawy do Ugandy. Po powrocie ekspedycyi zwołany będzie w kwietniu umyślny kongres dla zdecydowania w tej sprawie. Tym razem jednak odbędzie się on w Niemczech albo w Holandyi, a nie w Bazylei, gdzie syoniści narazili się już podobno ludności miejscowej.“

— W Zabłotowie, w Galicyi, do sklepu żydowskiego ze skórami weszło dwoje włościan. Włościanka zabrała skórę i spiesznie wyszła, a gdy właściciel sklepu upomniał się u jej męża o zapłatę, ten wybiegł na ulicę, krzycząc: „Żydy zarizuły meni żinku!“ Na ten krzyk inni włościanie rozbiegli się po całem miasteczku i wybijali szyby, łamali drzwi, niszczyli sprzęty domowe, plądrowali towary po sklepach, przyczem rzucano się na Żydów, raniąc ich i kalecząc nielitościwie. Sześćdziesięcioletniego właściciela sklepu wywleczono na ulicę, wyłupiono mu oko i bito go tak długo, aż stracił przytomność i w takim stanie ciągniono go przez cały rynek. Śmiertelnie ranionego przywieziono nazajutrz do szpitala w Czerniowcach. Wśród Żydów zapanowała okropna panika; wielu z nich ratowało się ucieczką do Kołomyi i Śniatyna, inni poukrywali się w piwnicach i na strychach.

— Ludność miasta Trawniki (w Bośni), cierpiąca głód z powodu licznych pożarów, nie przyjęła wagonu chleba, ofiarowanego jej przez generała komenderującego z Serajewa, wołając: „nie chcemy chleba od szwabów!“

Szkoły i wychowanie. Szkoła górnicza w Dąbrowie, zamknięta w kwietniu r. b., została na nowo otworzona. Dotychczasowi uczniowie przyjmowani są na kursa II—IV bez egzaminu, na kurs I egzamin jest obowiązkowy.

— Ministeryum oświaty zawiadamia, że norma procentowa dla Żydów dotyczy tylko studentów uniwersytetu i wolnych słuchaczów na kursach farmaceutycznych — wstęp zaś do uniwersytetu w charakterze wolnych słuchaczów jest Żydom zabroniony.

— W r. b. na kurs pierwszy politechniki warszawskiej przyjęto 210 nowych słuchaczów, w tej liczbie 24 bez egzaminu — 56 na wydział mechaniczny, 53 na chemiczny, 43 na górniczy. Oprócz tego na kursa wyższe wydziału inżeniersko-budowlanego zapisało się 5 studentów.

— *Kur. Warsz.* donosi: „Okręgowe władze naukowe niejednokrotnie występowały do ministeryum oświaty w sprawie dopuszczenia kobiet, posiadających odpowiednie kwalifikacye, do wykładów wszystkich przedmiotów w wyższych klasach gimnazyów żeńskich tudzież języka francuskiego i niemieckiego w szkołach miejskich i powiatowych, gdy według przepisów obowiązujących dozwolone im były wykłady tylko w trzech niższych klasach gimnazyów i progimnazyów żeńskich, w szkołach zaś miejskich i powiatowych męzkich nie miały prawa nauczania. Okazało się jednak, że w okolicznościach wyjątkowych dopuszczane do tych wykładów kobiety wywiązywały się chwalebnie, szczególnie, posiadające kwalifikacye z ukończenia wyższych kursów żeńskich; nadto przekonano się, że wykłady kobiet w wyższych klasach oddziaływają dodatnio na uczennice. Po zebraniu więc danych w tym przedmiocie, wobec braku nauczycieli z wyższem wykształceniem, ministeryum oświaty wystąpiło z przedstawieniem i wyjednało postanowienie: 1) dopuszczania kobiet do wykładu wszystkich przedmiotów w wyższych klasach gimnazyów i progimnazyów żeńskich i 2) dopuszczania do wykładów w tychże klasach i zakładach szkolnych żeńskich, tudzież w szkołach miejskich i powiatowych języka francuskiego i niemieckiego kobiet, posiadających świadectwa na guwernantki lub nauczycielki domowe tych języków.

— Wakują stypendya: z zapisu Maryi Jankowskiej dla studentów politechniki, oraz z fundacyi Anieli Zawidzkiej dla studentów uniwersytetu warszawskiego, wyznania rzymsko-katolickiego, pochodzenia polskiego. Podania przyjmuje komitet Tow. kred. ziemskiego.

— Do d. 5 października zapisywać się mogą kandydaci do szkoły pomologicznej w Warszawie. Kurs nauk trzyletni, opłata roczna 50 rb., wiek zapisujących się 14—19 lat.

— Z braku miejsca w szkołach początkowych miejskich nie przyjęto około 800 kandydatów.

Wiadomości naukowe. Rada gospodarcza Stowarzyszenia techników w Warszawie ogłosiła konkurs na pracę p. t. „O masowej fabrykacyi w przemyśle maszynowym,“ z nagrodą 200 rb., które ofiarował inżynier Władysław Jechalski. Prace konkursowe należy nadsyłać najpóźniej do d. 1 października 1904 r. do kancelaryi Stowarzyszenia techników, gdzie również można zasięgnąć szczegółowych objaśnień.

Zdrowie publiczne. W Tientsinie i Szanghaju wybuchła epidemia cholery.

— W Rio-Janeiro zmarło kilkadziesiąt osób na dżumę.

Ze sztuki. Na konkursie im. Korwin Szymanowskiej o stypendyum na dalsze kształcenie się za granicą, Towarzystwo sztuk pięknych przyznało pierwszeństwo rzeźbiarzowi Janowi Biernackiemu.

— Wykłady w żeńskiej szkole sztuk pięknych i sztuki stosowanej w Krakowie rozpoczną się d. 12 października.

— Od 1 października w salach Muzeum rzemiosł i sztuki stosowanej rozpocznie się nauka rysunku i malarstwa dla kobiet pod kierunkiem p. Mierosławskiej i prowadzona będzie we wtorki, czwartki i soboty od godz. 10 z rana do 2 po południu, rysunek zaś dla pracownic zawodowych co niedziela od godz. 1 do 3 po południu. Równocześnie rozpoczęta będzie nauka wyrobu intrasyi i mozajki drzewnej, z zastosowaniem do niej metalów, kości, masy perłowej itp., pod kierunkiem p. Boguskiej (Maryi Straża), a wykłady odbywać się będą w poniedziałki, środy i piątki od godz. 10 z rana do 1 po południu i w niedziele od 1 do 3 popołudniu. Zapisy na naukę rysunku, malarstwa, oraz intarsyi i mozajki przyjmuje kancelarya Muzeum rzemiosł (ul. Składowa nr. 3) codziennie od godz. 12 do 2 po południu i od 7 do 9 wieczorem. Opłata za naukę malarstwa lub mozajki wynosi 5 rb. miesięcznie, za niedzielną zaś naukę 3 rb. półrocznie.

Sprawy ekonomiczne. Warszawski kantor Banku państwa wprowadził kupno i sprzedaż walorów rządowych i gwarantowanych oraz listów zastawnych Towarzystwa kredytowego ziemskiego i Tow. kred. m. Warszawy i Łodzi.

— *Kijewlanin* podaje statystykę własności ziemskiej w gub. Wołyńskiej, według której wszystkich posiadaczy rolnych w tej gubernii w r. 1901 było 12,947, zajmujących 3,166,669 dziesięcin ziemi; trzecia część całego obszaru, 1,059,242 dziesięcin, należy do 100 właścicieli większych, z których 15 posiada 486,687 dzies.

— Krakowskie starostwo górnicze, przewidując zawalenie się salin w Bochni, nakazało je zamknąć. Przyczyną przewidywanej katastrofy jest gospodarka rabunkowa, która w tej chwili pozbawia chleba kilkuset robotników.

Koleje i komunikacye. Od d. 14 b. m. na kolejach Nadwiślańskich wprowadzono taryfę na przewóz towarów pociągami zwyczajnymi i pospiesznymi w komunikacyi bezpośredniej rosyjsko-chińskiej i amursko-usuryjskiej.

Klęski żywiołowe. W Siedliszkach, pow. Zamojski, spaliły się 34 zabudowania włościańskie wraz z inwentarzem, zapasami zboża i paszy — straty obliczono na 25,000 rb. W tymże powiecie, we wsi Cieszyn, zgorzało 17 zagród — szkody wynoszą 11,000 rb.

— Dwa miasta w Galicyi, Złoczów i Monasterzyska, nawiedzone zostały klęską pożaru. W pierwszem spaliło się około 1,500 zabudowań, w drugiem — 300.

— D. 16 b. m. na morzu Baltyckiem szalała burza, która zatopiła kilkanaście okrętów; wielu ludzi utraciło życie.

— D. 15 b. m. Salcburg, Karyntyę, Krainę, Tyrol, nawiedziła powódź, która zrządziła ogromne szkody; niektóre koleje zawiesiły ruch na czas dłuższy. Utonęło kilkanaście osób.

Katastrofy. W Bukareszcie, Constancy i Tyrolu dało się uczuć trzęsienie ziemi.

— D. 19 b. m. w Nowym-Yorku szalał orkan, wyrządzając ogromne szkody; mnóstwo ludzi odniosło pokaleczenia.

Zmarli. Aleksander Kłobukowski, ziemianin, publicysta i ekonomista, w Warszawie.

— Wincenty Montwiłł, pomolog, prezes wileńskiego Towarzystwa ogrodniczego.

OFIARY.

Na powodzian: Stanisław Bachnicki 3 rb., K. Dziakowicz 1 rb.

Na fundusz imienia Prusa: Polacy z Permu: W. Hermanowski rb. 3, W. Bartmiński rb. 3, W. Buwak kop. 50, K. Olszewska rb. 1, S. Wilkaniec rb. 1, K. Winkler rb. 3, Chodakowska rb. 1, K. Czechowski kop. 50, N. N. rb. 1, Tadeusz Lipski rb. 2, Zofia Orłowska rb. 1, Antoni Orłowski rb. 1, X. X. rb. 1, X. X. rb. 1 kop. 5, J. Weryho rb. 3, W. Gr. kop. 50, M. Dobrzyńska rb. 1, W. Jaczewski kop. 20, W. Różanowski rb. 1, Okmiański rb. 1, Wyleżyński kop. 60, A. Brzezińska rb. 1, Zakrzewski rb. 1. Kibart rb. 1, Woropaj kop. 50, Piotr Rzędzian rb. 1 — razem rb. 31 k. 85.

— Do dzisiejszego numeru dołączamy w dodatku kwartalnym ark. 7—12 dzie J. Simmela p. t. **Filozofia pieniądza**

OGŁOSZENIA.

Redaktor i Wydawca A. Dembowski.